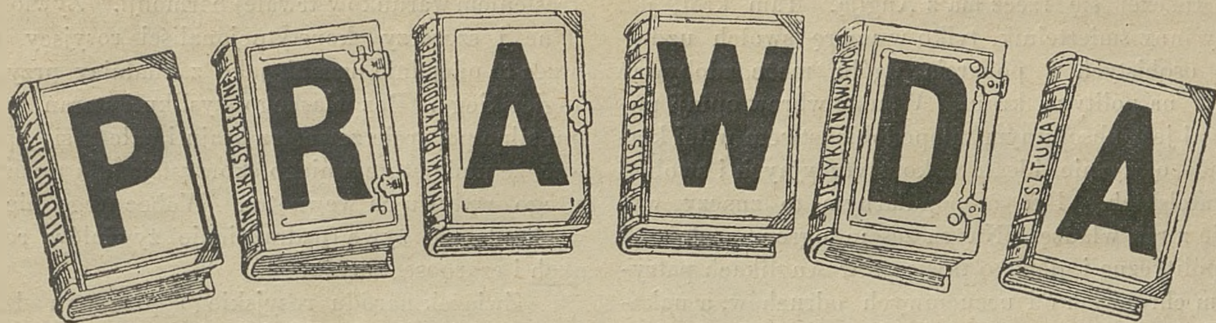
Nr. 33 (1492). Warszawa, 14. Sierpnia 1909 r. **Rok XXIX.**



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **Rysia 3. Telefon 73-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Koszta przyjaźni.

Dwie rywalizujące między sobą mocarstwowe potęgi: Anglja i Niemcy wyciskają coraz wyraźniejsze piętno swego politycznego charakteru na sferze swych sojuszów i wpływów. Obok walki o panowanie na morzach, obok współzawodnictwa handlowo-przemysłowego, jest to zmaganie się dwuch, wykluczających się wzajemnie, ideałów polityczno-społecznych.

Anglja — kolebka swobód obywatelskich — staje przeciwko Niemcom, będącym dziś głównym gniazdem reakcji, centralną twierdzą militaryzmu.

Kto z jedną lub drugą stroną zwiąże swe interesy, musi przejąć jej metody działania, ulegać jej natchnieniom. Kto zaś próbuje zająć pośrednie stanowisko ogniwa, łączącego dwie konstelacje grupujące się wokoło tych centralnych ognisk, musi podlegać nieustannym wahaniom pod naciskiem sprzecznych i wzajemnie wykluczających się wpływów.

Tę niedogodną rolę obrała sobie Rosja, a raczej ta rola została jej przez okoliczności wprost narzuconą przez jej dawne przymierze z Francją, zbyt silnie zcementowane interesem pieniężnym, by je mogła lub chciała zerwać.

Nigdy może to ścieranie się na jej gruncie dwuch potęg i odpowiadających im prądów nie stało się tak jawnym i głośnym jak w ciągu ubiegłego lata.

Gdy na skerach finlandzkich sąsiadujący ze sobą cesarze zapewnieniami niezmiennej przyjaźni umacniali tradycyjne węzły łączące dwie dynastje i dwa mocarstwa, równocześnie w Londynie nastąpiło pierwsze zaznajomienie i zbliżenie między przedstawicielami i wybrańcami dwuch narodów.

Na nic się nie zdały oficjalne zastrzeżenia, że wizyta posłów Dumy w Anglji nie ma mieć politycznego znaczenia. Nie można takiej rzeczy jak doniosłość polityczna jakiegoś faktu ustanawiać z góry, ani określać jednostronnie. Taż sama Duma, która w Rosji traktowana bywa nieraz jako niewygodna pozostałość z rewolucyjnego roku, źle zagojona blizna po ranach zadanych samowładztwu, nie krępująca zresztą wcale rządów jego polityce wewnętrznej, dla polityki zagranicznej jest niesłychanie ważna. Nie bez miłego zdziwienia przekonali się o tym posłowie rosyjscy w czasie swego pobytu w Londynie i w Paryżu, nie bez gorzkiego niesmaku stwierdziła to rosyjska biurokracja po wizytach w Cherbourgu i Cowes.

W stosunku z Niemcami nie gra to żadnej roli. Rząd cesarza Wilhelma nie wiele waży wolę i życzenia własnego parlamentu, a już w polityce zagranicznej niema nawet obowiązku z nim się liczyć. Jakżeby miał narzucać sąsiadowi ścisły konstytucjonalizm, gdy na jego rozwój u siebie w domu patrzałby z najwyższym wstrętem. Na tym między innymi polega głębokie wewnętrzne pokrewieństwo między dzisiejszą Rosją i Niemcami, trwające mimo wszelkie sojusze i niezależnie od wszelkich zjazdów i układów. Jest to bratni związek dwuch biurokracji, dwuch centralizmów, dwuch zaborczych potęg. Przyjaźń niemiecka nie jest zresztą wcale tak bezwarunkowa, jak z tryumfem akcentuje obecnie niemiecka prasa konserwatywna, wyjaśniając jej wyższość nad sztucznym związkiem rosyjsko-angielskim. Gra ona taką samą rolę, jaką niegdyś opieka zaborczych mocarstw nad ubezwładnioną Rzecząpospolitą Polską; nie pozwala ani dźwignąć się, ani odrodzić.

Unieruchomienie w wewnętrznym rozwoju, utrwalenie reakcji i rozkładu, stłumienie prądów liberalnych a przedewszystkim trzymanie w ryzie Polaków — oto warunki, jakie przyjaźń niemiecka narzuca Rosji. Nic dziwnego też, że szowinizm istinno-rosyj-

skich ludzi nietylko nie zwraca się nigdy przeciw Niemcom, lecz entuzjazmuje się wprost dla rządów cesarza Wilhelma, widząc w nim niby świętego patrona rosyjsko-niemieckiego hakatyzmu.

Inaczej się rzecz ma z Anglją. Tam król, jak każdy inny śmiertelnik, tylko w miarę swoich uzdolnień osobistych i poparcia ogółu może zdobywać wpływ na politykę kraju. Władać wbrew opinji publicznej jest absolutnym niepodobieństwem w tej klasycznej ojczyźnie ideałów konstytucyjnych i swobód obywatelskich. Być niepopularnym to znaczy wypuścić z rąk władzę. Na szczęście ogromna dojrzałość polityczna i głęboko tkwiący w Anglikach patryjotyzm chroni ich od uczuciowych odruchów, a nakazuje liczyć się nawet z twardymi wymaganiami państwowego interesu. Przymierze z dzisiejszą Rosją jest tam wysoce niepopularne i tylko wielki strach przed szybkim wzrostem potęgi morskiej Niemiec skłania naród angielski do tolerowania tego politycznego mezaliansu. Bacznie jednak czuwa nad tym, by on nie spaczył i nie zatruł wewnętrznego życia Anglji, by nie przyniósł uszczerbku jej tradycjom, jej cywilizacyjnej misji.

Pod naciskiem tej wiecznie czujnej kontroli narodu rząd angielski musiał hamować Rosję w jej zachciankach interwencji w Persji, nieustannie interpelowany w izbie gmin o znaczenie ruchów wojsk rosyjskich, o rolę pułkownika Lachowa w Teheranie itp.

O ileż więcej niepokoju i rozdrażnienia budziło to, co się dzieje w Rosji samej, a o czym prasa angielska dobrze bywa informowana przez swych korespondentów. Dla przejednania opinji publicznej musiał rząd angielski aż nadto przezroczystymi pół słówkami dyplomatów zobowiązać się wobec narodu, że użyje swego wpływu dla przeciwdziałania reakcji, a wzmocnienia żywiołów konstytucyjnych w Rosji. Musiał przez zaproszenie posłów Dumy i zaznajomienie ich z przedstawicielami angielskiego narodu podkreślić znaczenie i wagę, jaką przywiązuje do reform wewnętrznego ustroju państwowego i przenieść punkt ciężkości nowego sojuszu, z konszachtów dyplomacji na porozumienie dwuch narodów. W gładkiej i uprzejmej mowie króla Edwarda w Cowes — wzmianka o radości, jaką mu sprawiła wizyta posłów Dumy, była bardzo delikatnym ale niedwuznacznym podkreśleniem warunków trwałej harmonji. Żywioły liberalne i szczerzy konstytucjonaliści rosyjscy zostali przez to oficjalnie uznani jako zakładnicy przymierza angielskiego. Bez własnego wysiłku i starań uzyskali oni silne poparcie zewnątrz kraju i należy się spodziewać, że umiejętnie z niego skorzystają dla umocnienia swego wpływu na wewnątrz. Wobec tego nie może wcale dziwić żywe rozdrażnienie żywiołów reakcyjnych i czarnosecinnych.

Związek narodu rosyjskiego przeżywa dziś wogóle ciężkie chwile. Z jednej strony rozterki wewnętrzne i pustki w kasie, z drugiej coraz wyraźniejsza niechęć rządu grożą mu blizkim upadkiem. Rosja urzędowa musi się pozbyć tego kompromitującego ją i niebezpiecznego wspólnika, jeśli chce być dobrze widzianą w kole swych zachodnio-europejskich przyjaciół. Wieści z nad kanału la Manche dopełniają miary klęski. „Konstytucjonalizm rosyjski odbywa podróż po Europie!" wołają z oburzeniem reakcyjne pisma. Co gorsza, przez prasę zagraniczną dochodzi do Rosji wieść, że zamierzona jest i postanowiona szeroka amnestja dla politycznych przestępców. Projekt ten niewątpliwie również powstał i dojrzał na wodach Kanału.

Jeśli wieść ta się sprawdzi, jeśli istotnie naród rosyjski otrzyma od swego monarchy taki upominek z podróży, to wpływy angielskie uzyskają bardzo szeroką i trwałą podstawę w sympatjach całej ludności Cesarstwa.[1]

Ta zapowiedź zmian musi niemałą troską przejmować cesarza Wilhelma, który też czymprędzej pośpieszył zatrzeć wrażenie uroczystości angielskich spotkaniem w Kilonji.

Był tam jeszcze jeden szczegół nie efektowny ale osobliwie drażniący. Prócz rodziny panującej, armji i floty witały Cesarza Rosyjskiego izby i korporacje handlowe Cowes, Londynu i Liverpoolu wyrażając

---

Charles van Lerberghe.

Nadprzyrodzony wybór

przełożył M. SACHS.

W przeciągu dni czterdziestu książę Cyntji i jego stary sługa Saturn znajdowali się w osamotnieniu. Obaj oni zamieszkiwali odwieczną, wznoszącą się w głębi potężnego, gęstego lasu wieżycę, z której roztaczał się rozległy, szeroki widok na niezmierzoną przestrzeń falującego miarowo, zawsze bladego morza.

Książę siedział na szczycie wieżycy twarzą zwrócony ku morzu. Lecz morze to było dlań tak obcym i obojętnym, że, spoglądając na nie, zdawał się go nie spostrzegać. Wszystko, co ziemskie, było dlań dalekim. Wzrok jego niebieskich oczu niepewnie błądził w przestworzu, starając się przeniknąć niewidzialne. Włosy miękkie, jedwabiste i, jak łabędzi puch białe otaczały, niby nikłe promienie słoneczne, jego piękne, alabastrowe, smętne oblicze.

Saturn siedział u progu wieżycy. Dokoła niego kładł się chłodzący cień rozłożystych, gęstych gałęzi. Stary sługa był równie smutny, jak i pan jego. Lecz dlatego, że jego smutek mógł znaleźć wyraz, pocieszał on samotną swą duszę, zaklinając ją w grę fletową i stapiając ją w ten sposób z świergotem ptaków, skargą wiatru śród drzew i westchnieniami dalekiego morza.

I tak żyli w osamotnieniu zupełnym, nie mówiąc nawet z sobą. Lecz, pewnego razu o świcie, Saturn, noszący co dnia panu swemu gałązkę winogradu, którą ten się żywił, zastał księcia w tak dziwnym stanie, że nie mógł dłużej zachować milczenia:

— Panie — krzyknął — panie, umierasz!

Książę nic nie odrzekł.

— Niechaj me śmiałe słowa—ciągnął Saturn — nie obrażają cię, panie: Nie z wielkiego bólu nieświadomości przyczyn smutku naszego — umierasz. Bo smutek, który nas wszystkich tu, na księżycu, nęka zagadką jest. Rozwiązać jej nie można. Ona jest —

życzenie utrwalenia się i wzrostu stosunków handlowych obu krajów. Mówiono tam także o utworzeniu izby handlowej angielsko-rosyjskiej, o lokowaniu kapitałów angielskich w przemyśle rosyjskim, a wszystko to w tłumaczeniu niemieckim oznacza wytężoną rywalizację Anglji na rosyjskim rynku.

Wobec tego zdawkowe wyjaśnienie Izwolskiego, że przyjaźń Anglji nie osłabia serdecznych stosunków z Niemcami i na odwrót, przyjmować należy jako puste przechwałki. Nie jest to mądra gra dyplomatyczna, lecz nieuchronne balansowanie słabego między silnymi, którym kolejno ulegać musi, bo albo ich potrzebuje — albo ich się boi.

Rząd pruski jako wychowawca.

Gdy kilka lat temu katownia wrzesińska wzbudziła wstręt i oburzenie nietylko we wszystkich odłamach społeczeństwa polskiego lecz w całej Europie — mało kto zdawał sobie sprawę z ogólnego tła, na którym się ten ponury obraz zarysował, a które tłumaczyło względnie słaby odruch protestu wśród najbliżej zainteresowanych.

W całych Niemczech, a nawet wśród Polaków zaboru pruskiego nie odczuto strony czysto ludzkiej tej szkolnej martyrologji, nie odczuto jej w tym stopniu, co poza granicami tego kraju. Podnoszono niemal wyłącznie stronę polityczną faktu; z jednej strony zimną rację stanu, nakazującą posunąć giermanizację aż w dziedzinę sumienia i wiary, z drugiej samoobronę polsko-katolickich dusz przed inwazją niemiecką na ten nietykalny teren. Było to niby zagarnięcie przez zabór pruski linji komunikacyjnych, łączących Polaków z ich niebem.

Sam fakt, że szkołę zamieniono na katownię, że urzędnik do dawania lekcji ujarzmiał oporną dziatwę przy pomocy kija — nie tak jaskrawo raził w kraju, gdzie trzcina i laska należą do rekwizytów szkolnych równie niezbędnych jak tablica i ławka, gdzie wychować i bić są to pojęcia nierozłączne i gdzie środki i granice wymierzania kary cielesnej poważnie bywają rozstrząsane w podręcznikach higjeny szkolnej.

Tylko zapobieganie nadużyciom, tylko prawne ograniczenia — lecz nigdy samo zniesienie kary cielesnej, bywa celem i myślą przewodnią protestów, które w podobnych wypadkach podnoszą się w prasie niemieckiej lub w izbach prawodawczych.

Obecnie nowa tego rodzaju sprawa wypłynęła na światło dzienne i wzbudziła powszechne zainteresowanie dla specyficznych cech kultury niemieckiej.

Na ziemiach zajętych przez kolonizację niemiecką w Poznańskiem powstał zakład poprawczy dla zaniedbanych dzieci berlińskich.

Dzieci zaniedbane — nie znaczy to jeszcze bynajmniej tyle co małoletni przestępcy. Prawo pruskie w teorji jest wielce humanitarne, opiekuńcze i przezorne. Nie poprzestając na karaniu przestępstw troszczy się o zapobieganie im, — nie pozwala więc dzieciom rosnąć bez wychowania. Dziecko, pozbawione opieki najbliższych, czy to skutkiem śmierci, czy też złego charakteru lub smutnego położenia rodziców — dostaje się pod opiekę państwa, które zastępuje mu ojca lub matkę.

Oto jeden z dziennikarzy poznańskich cytuje fakt taki: „Rodzice żyli. Ojciec pijak, ale matka porządna kobieta, praczka, żywiła męża, siebie i jedyną córkę. Ponieważ zaś całymi dniami nie była w domu, tylko u pracy, magistrat, dowiedziawszy się o tak niestosownym wychowaniu dziecka, chapnął (!) w obecności matki dziewczę i wysłał je het! za granicę Księstwa, na zachód na wychowanie".

Jakaż rozczulająca troskliwość! Jakiż wzór do naśladowania! Szkoda tylko, że wykonywaniu tak pięknego prawa przewodniczy często polityczny cel, a towarzyszy zawsze niemal brutalność tak barbarzyńska, jak kulturalnym jest w założeniu swym samo prawo. W czasie poznańskiego strajku szkolnego odbierano rodzicom polskim dzieci, których nie posyłano do szkoły i oddawano je na „przymusowe wychowanie". Zdarzało się dawniej, że podobnego środka chwytano się względem rodziców socjalistów, którzy zabierali ze sobą dzieci na zebrania robotnicze, nie mając ich przy kim w domu zostawić. Wychowywanie dzieci polskich w prowincjach niemieckich oraz przenoszenie dzieci niemieckich w okolice polskie jest również stale stosowanym systemem, a wyrazem jego stało się założenie zakładu wychowawczego w Mielżynie dla dzieci miasta Berlina. To też kierownik zakładu, pastor Breithaupt, dla rozbrojenia niemieckiej opinji publicznej, którą oburzył jego system wychowawczy, oświadczył, że „za pomocą tego systemu chce młodzież wychować na podporę niemczyzny na kre-

---

tajemnicą boską, lecz tajemnicą zbawienną. Panie, umierasz — z milczenia! Milczenie bowiem samo przez się jest cierpieniem śmiertelnym. Ja sam już dawnobym umarł, gdybym nie posiadał tej oto trzcinki, której graniem fujarkowym smutek swój śpiewam i w pieśń zaklęty w przestwór rzucam. A łącząc się w rozgłośny chór z żałością wiatru, tęsknicą drzew poszumu, smętkiem fal morskich — rozwiewa się on powoli. I ty, panie, wypowiedz swą duszę. Siądę w cieniu zieleni u progu wieżycy i śpiewem fletni swej, cichym, cichym śpiewem wtórzyć jej będę...

Książę kilkakrotnie poruszył wargami i wreszcie z wysiłkiem potężnym wyszeptał:

— Głos mój milczy...

— Lecz — odrzekł Saturn — nie powiniem milczeć. On musi mówić, musi śpiewać... Wszystko dokoła śpiewa, wszystko dokoła uczucia i myśli swe wszelkie w dźwięk pragnie wcielić; jedna śmierć jeno jest bezgłośna. Bóg dał nam słowo, abyśmy mogli wyśpiewać nim duszę. Milczeć — znaczy — obrażać Boga.

— Dusza moja nie znajduje słów — westchnął książę.

— Dlatego, że ich nie szuka, — odpowiedział Saturn — dlatego, że nieczynną jest i zmęczoną, dlatego, że marzy o śmierci. O, panie, wierny twój sługa posiada małą, zwykłą, ograniczoną duszę, która umrzeć może, lecz ty masz duszę inną, duszę, która zawiera w sobie i niewyśpiewane melodje niesłyszanych nigdy pieśni, i ukryte blaski lśnień jarzących, i tajnie niepojętych jeszcze czuć i myśli, i ona umrzeć nie może i nie powinna. Ona żyć musi! I ona cię, panie, tłoczy, gniecie, szarpie, wyrywa się z ciebie i krzyczeć chce i głosem swym wieszczym rozebrzmieć w wszechświecie całym. Tyś jest, jako człowiek, grający na flecie wonczas, gdy śmierć wchodzi w wnętrze jego; jeszcze dmie w otwór, ale już palców zesztywniałych odgiąć nie może, oddech mu się urywa, wtłacza z powrotem do piersi i człowiek, dławiąc się, z wargami na instrumencie, umiera.

— Mówisz, panie, że dusza twa słów znaleźć nie może. Lecz czemu szuka ich w obłoków zwojach, gdzie tylko pustka króluje? Do życia potrzebna jest pewna doza zmysłu praktycznego, trzeba mocną, twardą, nieugiętą nogą zetknąć się z księżycem, rodzicem naszym, aby nie zatracić drogi w wirze wiecznego biegu i nie roztleć się w sinej przestrzeni.

sach wschodnich, chłopcy z zakładu bowiem mają być później osiedleni jako koloniści w Poznańskim!"

A oto w jaki sposób hodowano tam przyszłych pionjerów cywilizacji niemieckiej:

„Bito tam chłopaków od 14 — 17 lat niemiłosiernie, pętano w kajdany (żeby nie uciekli), nawet do nóg, podczas prac w polu, przyczepiano kajdany i łańcuszki".

„Przy wymiarze kary krępuje się wychowańcom ręce zapomocą żelaznych więzów, nogi również wiążą. Jakiś wychowaniec otrzymał 100 batów w ciągu jednego dnia, a zaszedł podobno jeden wypadek, że wyrostek pewien w ciągu doby otrzymał 75 i następnie 50 batów czyli 125. (!!!) Batożenie odbywa się publicznie przed wszystkimi wychowańcami, a karany głośno liczyć musi razy. Oprócz tego istnieją inne jeszcze kary. Obitego pakuje się ze spętanymi rękami i nogami do osobnej celi, w której dostaje tylko chleb i wodę. Istnieje podobno też kolonja karna, do której dostają się podejrzani o chęć ucieczki!"

Tutaj naturalnie nie działa już ani nienawiść rasowa, ani polityczny fanatyzm — lecz wprost głęboko tkwiące w naturze wychowawców barbarzyństwo i okrucieństwo, wypielęgnowane starannie w dzisiejszych Prusach przez tych mężów stanu i filozofów, którzy karmili swój naród hasłami „ausrotten", budzili cześć dla opancerzonej pięści, tępili dawniejszy niemiecki idealizm i sentymentalizm, brutalność utożsamiając z tężyzną i otwarcie zmierzali do tego, by imię niemieckie rzucało blady postrach i grozę na dalekie krainy Wschodu i Południa.

Pod imponującym rozkwitem zewnętrznej materjalnej kultury kryje się we współczesnych Niemczech gniazdo najwstrętniejszego duchowego rozbestwienia i rozpasania najdzikszych instynktów w dwuch zawsze równolegle do siebie rozwijających się postaciach: okrucieństwa i rozpusty. Między skandalami Liebenberga a skandalami Mielżyna zachodzi znacznie bliższe psychologiczne pokrewieństwo niż się na pozór wydaje. Naród Eulenburgów i Breithauptów hołduje klasycyzmowi cofającemu go do tradycji Tyberjusza, Kaliguli i Nerona.

Kroniki szkolnictwa niemieckiego, opierającego wychowanie na dyscyplinie a urabiającego charaktery przy pomocy bolesnego masażu, notują również liczne fakty szerzenia zepsucia wśród dzieci szkolnych przez nauczycieli nadużywających swej władzy w niemoralnych celach. Nigdzie też może w świecie dziecięcym tak nie grasuje prostytucja jak w tym kraju, gdzie każde dziecko od szóstego roku życia przechodzi pod władzę szkoły i gdzie państwo zmonopolizowało w swym ręku wychowanie wszystkich obywateli.

Jest rzeczą całkiem zrozumiałą, że polska prasa w Poznańskim korzysta ze skandalicznych rewelacji dotyczących Mielżyna by urągać swym niemieckim cywilizatorom i wyszydza ich mniemaną wyższość kulturalną.

Niestety, i w tych głosach prasy brzmią pewne dźwięki świadczące o podleganiu wpływom szkoły niemieckiej, o przytępieniu, cechującej nasz naród,wrażliwości etycznej i humanitarnej. Oto naprzykład zdumiewająca uwaga *Gońca Wielkopolskiego*: „sprawa ta właściwie mniej nas obchodzi, boć to dzieci z Berlina, ale kto wie? pewnie i niejedno polskie dziecko pomiędzy nimi się znajduje".

To ścisłe ograniczenie współczucia na ciasne kręgi „swoich", a lekkie przechodzenie do porządku dziennego nad cierpieniem i krzywdą „obcych", jest przecież samo przez się objawem zwyrodnienia uczuć ludzkich pod wpływem szowinizmu. I moglibyśmy oburzać się i piętnować taki polski przekład niemieckiego hakatyzmu, gdybyśmy nie rozumieli, że ten nad wyraz smutny objaw w całości przypisać należy wpływom długoletnim polskiej polityki. Całe nasze społeczeństwo znajduje się tam w kleszczach „przymusowego wychowania" pruskiego, a pedagogja kija tępi w nim popędy czysto humanitarne tak samo, jak metoda pastora Breithaupta w bezdomnej dziatwie Berlina. Dręczeni bezlitośnie sami stają się niemiłosierni i dla tego daremnie szukalibyśmy w głosach prasy poznańskiej dźwięku współczucia dla ofiar brutalnego pastora. *Kurjer Poznański* pisze: „przysyła się tu najgorsze szumowiny młodzieży z bruku wielkomiejskiego Berlina i za pomocą systematycznego bicia wychowuje na przyszłych „pjonierów" niemieckiej kultury".

Zapomina,że tymi szumowinami są przedewszystkim dzieci nędzy, ofiary, lecz nie winowajcy własnego moralnego zaniedbania lub nawet spaczenia i dla tego obejmowanie jednym wyrokiem potępienia „i wychowanków zakładu w Mielżynie i wychowawców" — jest krzyczącą niesprawiedliwością. Krzywda doznawana jest tym większą, jeśli nie tylko szkodzi lecz i gorszy. Opór przeciw germanizacji powinienby więc sięgnąć głębiej i bronić duszę polską przed jej shakatyzowaniem. Tylko oparcie idei narodowej o ideję ogólnoludzką może jej zapewnić zwycięstwo.

I. Moszczeńska.

— Czegóż chcesz odemnie? — zapytał książę zniecierpliwiony i udręczony.

— Przywiodę, panie, przed oczy twoje wszystkie słowa, które Bóg stworzył na obraz i podobieństwo swoje i których odmiany przeróżne zamieszkują księżyc. Kręgiem umieszczę je dokoła ciebie, a ty staniesz pośrodku nich, jako słońce śród planet. Zagram wtedy i zniewolę je muzyką by krążyły w takt dźwięków fletni, ty zaś, panie, na każde z nich z kolei rzucać będziesz świetlisty promień duszy swojej i w ten sposób dowiesz się, kogo szuka ona.

— Wspaniała myśl — rzekł książę — lecz sam widok krążących dokoła mnie głów wywoła zawrót głowy.

— Więc ty sam, panie, będziesz krążyć wokół nich, jak słońce krąży dokoła nieruchomych gwiazd.

— Nie, Saturnie, nie mogę myśleć, będąc w ruchu; muszę być nieruchomym. W półleżącej pozycji spoczywać musi wtedy ciało moje. I potrzebną mi jest samotność i milczenie...

Książę zastanawiał się nad czymś chwil kilka, a potym dodał:

— I w tej krainie nigdy nie zdołam odnaleść swej duszy. Choć tak daleko jesteśmy od pozostałych żyjących, jednak zbyt jeszcze blizko. Musimy być w innym jakimś miejscu. Jak pięknym, Saturnie, jest Wieczny Czas, — Czas, który skrzydła posiada. Oto przed chwilą był i już go niema, ciągle zmienia miejsce. Czyż nie istnieje na świecie kraj taki, w którym i my moglibyśmy wciąż w innym miejscu przebywać? Czyż nigdzie niema takiej skrzydlatej przestrzeni?

— Tak — odrzekł Saturn — kraj taki istnieje i my żyć w nim będziemy. Zbuduję ze słoniowej kości wielki okręt i sprowadzę nań wszystkie słowa, aby były bardzo blizko ciebie. A gdy uczynię to, siądziemy nań i my i podniesiemy żagle. Podczas podróży po otwartym morzu stale znajdować się będziem w innym miejscu; w nocy przy blaskach ziemi na wodzie; w spokoju i rozwadze zaczniemy, panie, śród słów szukać tych, które do duszy twej się zastosować dadzą.

— Niechaj tak będzie—rzekł książę, zasypiając.

Wysiłek, z jakim wymawiał słowa, zmęczył go bardzo; spał więc bez przerwy tydzień cały.

A przez czas ten Saturn pracował mozolnie i gorliwie nad dziełem swym. Zebrał ogromną ilość kości słoniowej, pociął ją na cienkie deseczki i sklecił z nich

Z ruchu kobiecego we Francji.

Na jednym z posiedzeń „Międzynarodowej Rady Kobiet" pani Hainisch — przewodnicząca Federacji stowarzyszeń austryjackich — radziła żartobliwie rzeczniczkom równoupra.. nienia aby były... uprzejme dla mężczyzn, gdyż od nich, jako od prawodawców, zależy urzeczywistnienie pożądanych reform"...

Tej „taktyki" trzymają się Francuzki.

Nie wstępując w ślady „rewolucjonistek" angielskich usiłują one zyskiwać częściowe ulgi przy pomocy „dyplomatycznych" rokowań z przedstawicielami władzy.

W obec tego lwią część działalności licznych Związków kobiecych wypełnia motywowanie projektów prawodawczych znoszących przywileje płci silnej, oraz pozyskiwanie dla sprawy wpływowych obrońców w kołach parlamentarnych.

Praca ta postępuje...

W Izbie, z inicjatywy deputowanego Cheron, utworzył się przed dwoma laty tak zwany: „Comité Parlementaire des Droits des Femmes" któremu przewodniczy obecnie Beauquier. Podobnego rodzaju grupa istnieje w Senacie pod nazwą: „Commission des Droits civils des Femmes". W gabinecie na miano „feministów" zasłużyli ministrowie Cruppi i Viviani, przyjmujący niejednokrotnie czynny udział w Kongresach kobiecych. Niezależnie od pracy „oficjalnych" mężów stanu rewizję kodeksu cywilnego podjął „Komitet reformy małżeństwa" w którym, obok prawników i pisarzy tej miary jak Maeterlinck, Poincarré, Prevost, Margueritte, Mirbeau, współdziałały wybitne rzeczniczki praw kobiety.

Program partji rządzącej (radykalno - socjalistycznej) obejmuje stopniowe urzeczywistnienie reform w dziedzinie cywilnych i politycznych praw kobiety; — w dziale zaś prawodawstwa socjalnego: obostrzenie przepisów dotyczących pracy kobiet i dzieci — państwowe ubezpieczenie macierzyństwa — zrównanie płacy robotników płci obojga za równą pracę — zapewnienie opieki dzieciom naturalnym i t. d.

Jest to jednak muzyka przyszłości.

Wnioski dotyczące wyżej wymienionych praw wchodzą wprawdzie od czasu do czasu na porządek dzienny obrad parlamentarnych ale zazwyczaj nie otrzymują poparcia większości, „Większość" nie może się dotąd oswoić z poważnym traktowaniem „kwestji kobiecych". Ma dla nich obojętność lub... drwiny.

Z „wesołym" przyjęciem naprzykład spotkał się przed kilku tygodniami wniosek deputowanego Godarda, domagający się zmiany „przestarzałego" paragrafu 213, nakazującego żonie „posłuszeństwo". Izba orzekłszy, iż w życiu nikt się taką formalistyką nie krępuje, odesłała projekt, przy akompanjamencie wybuchów śmiechu, do komisji.

W komisjach grzebane już były (z mniejszymi lub większymi honorami) niejedne projekty „feministyczne".

Dwa najważniejsze prawa, uchwalone w ostatnich czasach na korzyść kobiet, weszły w życie dzięki niezmordowanym zabiegom wytrwałych działaczek. Słusznie też nowe prawo — przyznające mężatkom własność ich zarobków — nazywa się w kołach kobiecych „prawem pani Schmahl" w uznaniu niespożytej wytrwałości inicjatorki tej reformy. Równie poważna a świeża zdobycz — dopuszczenie kobiet do współudziału w Sądach rozjemczych przemysłowych t. z. Conseils de Prudhommes" zawdzięczyć należy długoletnim usiłowaniom sędziwej pani Vincent, która w odczytach, broszurach, petycjach, na kongresach i w gabinetach ministrów uzasadniała konieczność przedstawicielstwa kobiecego, tam gdzie wchodzi w grę ocena pracy kobiet i obrona ich własnych interesów.

Ruch kobiecy we Francji poszczycić się może wielu, pełnymi poświęceń, pionierkami. Praca ich konsekwentna i zrównoważona imponuje wytrwałością i powagą.

Czemu mimo to sprawa równouprawnienia płci nie posuwa się tu w równie szybkim tempie jak w innych krajach?

Godzi się wysłuchać argumentów, jakimi się kierowała ostatnia „Rada jeneralna" (Conseil général de Loir et Cher) odrzucając projekt senatora Martin, domagającego się praw wyborczych municypalnych dla kobiet.

— „Gdyby obywatelki Francji" — brzmiała oficjalna odpowiedź — „nie były zadowolone ze swego losu, uzyskałyby oddawna to, czego pragną... Wszak przysłowie nasze mówi „czego żąda kobieta, tego chce i Pan Bóg"... a cóż dopiero zwykły śmiertelnik!... „Rada jeneralna" oczekuje powszechnego buntu wszystkich Francuzek w celu przekonania się o istotnej potrzebie proponowanej reformy".

W tej ironicznej odprawie tkwi poważne wskazanie...

Pojedyńcze wysiłki ofiarnych jednostek nie wy-

---

wielki okręt, podobny do arki. Wzniósł maszty, przymocował do nich jedwabne żagle i zarzucił pęki srebrnego sznura. Wreszcie na dziobie okrętu wyrzeźbił mistycznego gołębia z wzrokiem zwróconym w nieskończoność, którą wyobraził błękitną barwą.

A gdy budowa okrętu była skończoną, umocował go na kotwicy w zatoce, sam zaś powędrował na ląd.

Pewnego poranku książę, budząc się ze snu długotrwałego, rzekł:

— Deszcz pada; drozd śpiewa.

Lecz deszczu nie było: to brzmiał cicho szmer przechodzącego stada słów, pod których stopami lekko drgała ziemia. I drozd nie śpiewał — to Saturn zawodził na fletni swe pienia, krocząc, niby pasterz, na czele rozgwarzonego stada.

I książę zauważył, jak się słowa staczały po pochyłości ku brzegowi. Sunęły długim szeregiem, wstępowały na mostek, łączący brzeg z okrętem, i tam nikły. A okręt w miarę ich napływu, jakby pod ciężarem dużym, zagłębiał się coraz bardziej w tonie morskie. Gdy już ostatnie słowa dostały się na okręt, Saturn zamknął oddrzwie, osunął mostek i ruszył po swego pana.

Książę opuścił wreszcie wieżycę, i Saturn wdział mu na piękną głowę wieniec misternie spleciony z winogradowej gałęzi, pozostawiwszy na okrycie swego czoła jeno listowie. I obaj ruszyli w milczeniu. Kiedy siedli na okręt, był już wieczór. Książę siadł u steru, i Saturn podniósł kotwicę. Słyszeli za sobą głuchy poszum. Brzeg oddalał się od nich powoli. Ciepłe powietrze zefirkiem rozkosznym muskało pieszczotliwie ich twarze. Morze było blade i drżące.

Płynęli tak noc całą, a dokoła nich było jeno niebo i woda. W dali ze zwojów chmur wyłaniała się ziemia. Saturn, stojąc na dziobie okrętu, przyglądał się uważnie tajemniczej kuli wschodzącej ziemi; książę, siedzący u steru, też spoglądał na nią, lecz w zwierciadlanym odbiciu tafli wodnej.

Aż naraz, wśród niczym dotychczas nie zamąconej ciszy, rozległ się szmer jakiś i, stając się coraz głośniejszym i przeraźliwszym, rozebrzmiał wreszcie takim hałasem piekielnym, iż okręt zdał się być pływającym ulem.

— Któż śmie zakłócać spokój nasz? — zapytał książę.

— Panie, — odrzekł Saturn, — to ze snu budzą się słowa. W dzień drzemią one, gdy rzeczy i przedmioty ucieleśniające je żyją; zaś w nocy, gdy

starczają. Tak zwana: „guerre en dentelle" nie prowadzi do radykalnych przewrotów. Aby wywrzeć nacisk na władze, trzeba przemawiać nietylko w interesie szerokich warstw *ale w ich imieniu*.

Trzeba być wysłannikiem i przedstawicielem szeregów zorganizowanych i gotowych do obrony swych żądań. Jednym słowem trzeba uświadomić i zmobilizować masy.

Powiedziano to sobie na ostatnim posiedzeniu „Rady narodowej kobiet francuskich". Postanowiono rozszerzyć akcję, zasklepioną dotąd przeważnie w niezbyt bujnym życiu „Stowarzyszeń" o nastroju „burżuazyjnym". Na jesieni proponowanym jest zorganizowanie mityngu ludowego. Na razie rozrzucono po warsztatach, fabrykach i pracowniach setki tysięcy odezw do robotnic. Treść ich głosi: Jeśli chcecie uzyskać poprawę bytu — równą płacę za równą pracę — należne wam stanowiska w rodzinie i społeczeństwie—domagajcie się praw wyborczych, bo jedynie przy pomocy głosowania zdobędziecie dla siebie sprawiedliwość.

Odwołanie się do szerokich mas przesuwa sprawę na grunt realny, zespalając ją z palącymi wymogami życia. Statystyka wylicza przeszło pięć miljonów kobiet pracujących we Francji w przemyśle, handlu i innych dziedzinach. To argument zwalczający siłą faktów „antyfeministyczne" frazesy o „posłannictwie kapłanek domowego ogniska". Wzrastającą z rokiem każdym armję *samodzielnych* pracownic wyprowadza z domu na szeroką arenę życia nie „sztuczna demagogja" ale zmienione warunki wytwórczości i bytu, do których przystosować się muszą,liczące się z rzeczywistością, normy prawne.

W tym duchu nakreślonym jest rzeczowy memorjał adwokatki Marji Verone, mający na celu przygotowanie gruntu dla spodziewanych w ciągu sesji jesiennej Izby obrad nad wnioskiem ustawodawczym deputowanego Dussanssoy, domagającym się równouprawnienia płci w przedstawicielstwie municypalnym.

Praca pani Verone jest ciekawą i aktualną ze względu na pokrewne dążenia naszych rzeczniczek równouprawnienia

Paryż. *Orka.*

Kolonizacja niemiecka w Królestwie.

Od lat paru, ludzie wnikający głębiej w zjawiska społeczne u nas zachodzące, patrzyli z trwogą na coraz bujniejszy rozrost kolonizacji niemieckiej. Nikt jednak do niedawna jeszcze nie wiedział na pewno, jak to zjawisko wygląda w oświetleniu statystycznym i politycznym. Obecnie, dzięki sumiennym studjom pana Henryka Wiercińskiego, wiemy o tym. To co nam p. W. powiedział swoimi źródłowymi artykułami w tej sprawie, a w ostatnich czasach i mapą wykazującą w sposób poglądowy rozmieszczenie Niemców w Królestwie, przemawia bardzo stanowczo i jasno. Z prac p. Wiercińskiego dowiadujemy się, że kolonizacja niemiecka nie jest jedynie zjawiskiem ekonomicznym,lecz ma wszystkie cechy planowego, konsekwentnego podboju Królestwa przez Niemców. Kolonizacją kierują umiejętnie ukryte siły, czuwają bacznie nad jej charakterem narodowym i pionierskim, uważając ją za organizację mającą na celu rozszerzenie granic niemieckich, powolne obsadzanie tych ziem, zanim stosunki polityczne ułożą się w tak sprzyjający sposób, że możliwym się stanie zdobycie politycznej nad nimi władzy. „Dla tego też — zdaniem autora—zarówno społeczeństwo nasze jak i organa rządowe, którym piecza nad całością granic jest powierzoną, nie mogą lekceważyć tego osadnictwa i nie zwracać nań pilnej uwagi".

Jak się wobec kolonizacji niemieckiej zachowuje społeczeństwo polskie zwłaszcza sfera ziemiańska — wiemy wszyscy.

Zaklinając się na miłość rodzinnej ziemi, zroszonej krwią przodków, przy każdej sposobności, gdy kłopoty materjalne przycisną a Niemiec pieniędzmi brzęknie i dobrą da cenę, sumienie narodowe szlachcica milknie jakoś i oddaje ziemię kolonistom niemieckim. Osadnictwo niemieckie krzewi się na ziemiach pofolwarcznych, bo wśród chłopów nie zdarza się to prawie wcale. Przeciwnie, jednym z najpoważniejszych zarzutów, jaki chłopski stan stawia obywatelom ziemskim,

---

wokół śpi wszystko, wstają. Właśnie teraz brać je należy, bo sen tchnął w nie życie.

— Wprowadź je — rzekł książę.

I Saturn podniósł zaporę. Niezliczony tłum stworzeń i rzeczy, chwiejąc się, pchając wzajemnie i tłocząc, wyrzucając z siebie w przestworze dzikie wycia i wstrętne krzyki, wybiegł w szalonych podskokach na pokład, który przypominał w tej chwili rozrzucone mrowisko. Jedne z nich wdrapywały się na maszty, dosięgając ich szczytów, inne czepiały się sznurów srebrzystych i przylegały do bieli śnieżnej żagli, niby plamy bezkształtne. Ciężka, dusząca, zwierzęca woń tłumu unosiła się gęstymi kłębami w powietrzu.

— Precz z nimi! — krzyknął książę rozpaczliwie, lecz Saturn z toporem w ręku sam rzucił się na nie i zabił ogromną ich ilość; pozostałe zaś wepchnął brutalnie na spód okrętu i, zatrzasnąwszy klapę, siadł na pokładzie, ocierając rękawem ściekający mu obficie z czoła pot. Lecz hałas nie ustawał.

— Ach — rzekł książę wyczerpany zupełnie — jak można znaleźć w tym krzykliwym i cuchnącym tłumie to, czego należy szukać śród bezkresnego milczenia i ciszy piękna przeczystego.

— Panie — rzekł Saturn — są to najohydniejsze zwierzęta, które bezwzględnie należy wygnać z okrętu i to jaknajszybciej, gdyż, w przeciwnym razie, tak nam zatrują powietrze, iż oddychać będzie nie sposób. Oto na drodze naszej jest wielka dzika wyspa, pokryta nieprzebytym gąszczem lasu i granitowymi złomami — jest to dla nich najodpowiedniejsze miejsce — na niej też je zostawimy.

Okręt szybko przybył do owej wyspy. Brzeg jej był zarośnięty dziwacznymi czerwonymi drzewami. Saturn zatknął kotwicę, przerzucił mostki i podniósł zaporę. I znów stado całe wybiegło na pokład. Lecz Saturn, wymachując toporem, po przez mostki gnał słowa na wyspę. Tyle jednak energji i tyle zapamiętania włożył on w tę czynność, że, gdyby nie interwencja księcia, który w odpowiedniej chwili pohamował nieco jego zapał i gorliwość, prawdopodobnie ani jedno słowo nie pozostałoby na okręcie.

— Saturnie! — karcił go książę—ty wypędzasz precz z okrętu słowa i dobre i złe, czyste i brudne, subtelne i brutalne; trzeba pozostawić jednak przecież te, które będą w stanie rzec coś duszy mojej...

Dokonanie odpowiedniego wyboru było nader trudnym, lecz pomysłowy Saturn i na to szybko znalazł środek. Oto rozciągnął wielką sieć o maleńkich, misternych okach i zmusił toporem cały tłum słów do przejścia po przez nią na mostek, wiodący na brzeg. W ten sposób wszystkie słowa brutalne, duże i grube przeszły po niej łatwo i jeno małe i delikatne i cienkie przedzierały się po przez włókna sieci i padały na pokład. Gdy złe w ten sposób były oddzielone od dobrych i brzydkie od ładnych i wygnane na brzeg wyspy bezdusznej, Saturn zwiódł mostek. Kilku jednak

jest to lekkomyślne oddawanie ziemi polskiej w ręce niemieckie.

„Ziemia polska jest własnością tego, co ją własnymi rękami od wieków uprawia. I ona z czasem w te ręce pracowników przejdzie. Obcym przybłędom wara od tej świętości, a hańba wieczna tym sprzedawczykom rodakom, co tą świętą ziemią w taki sposób handlują". Oto zbiorowy pogląd chłopów na tę sprawę. A teraz przypatrzmy się jak reaguje na to zjawisko opinja społeczna lepszej części oświeceńszych warstw w narodzie, tych które z mniej egoistycznych przyczyn, niż chłopi, zapatrują się na tę sprawę. Opinja u nas jedynie przez prasę się wyraża, ta oddawna jednogłośnie czyn taki, jak sprzedanie Niemcowi ziemi, potępia. W ostatnich czasach społeczeństwo nasze od słów potępienia zaczyna przechodzić do czynnej samoobrony, tworzy się bank parcelacyjny ziemian płockich, zmierzający do walki ekonomicznej z kolonizacją niemiecką. W społeczeństwie całym, coraz bardziej świadomym staje się przekonanie, że trzeba wytężyć siły, aby położyć tamę kolonizacji niemieckiej u nas.

Nie można dłużej spokojnie myśleć o tym,że mamy już liczne takie gminy w kraju jak w płockim, gdzie ludność niemiecka stanowi połowę ludności, a mamy i takie jak w piotrkowskim i kaliskim, gdzie ludność niemiecka jest procentowo wyższą nad połowę ogólnej ludności. Najsilniej przez żywioł niemiecki obsadzone są gminy pograniczne od strony Prus i tak ważny punkt strategiczny, jak oba brzegi Wisły od Nieszawy poczynając aż pod Kazimierz Dolny. W 27 gminach, leżących na tej przestrzeni na owym brzegu rzeki, niema ani jednej, którąby nie miała Niemców. W ostatnich czasach rozwinęła się bujnie kolonizacja niemiecka w Lubelskim (t. z. przez chłopów „gniazda szwabskie") pod samym Lublinem i na Chełmszczyznie. Rozwój kolonizacji na Chełmszczyznie, niezwykle bujny i szybki, jest w całości zasługą Banku włościańskiego, który w tamtych okolicach odmawia udzielania pożyczek parcelacyjnych chłopom polskim katolikom, ale za to hojną dłonią rozdaje je obcym poddanym chłopom niemieckim protestantom.

I tu przychodzimy do faktu świadczącego jak „dziwnie" reaguje na kolonizacje niemiecką biurokracja rosyjska, której przecież piecza nad całością granic państwowych jest powierzoną. To też, skoro mapa poglądowa o osadnictwie niemieckim w Królestwie Polskim została wydaną, ta „misja ekonomiczna" Banku włościańskiego na Chełmszczyznie wypadła tak jaskrawo, że wywołała żywe zainteresowanie nawet w sferach rządowych. Główny kierownik Banku włościańskiego w Petersburgu, zwrócił się do autora z „gorącą prośbą" o 2 egzemplarze mapy i to „ekstrenno".

Oczywiście, prośba ta, została spełnioną, a ponadto zarządzający Bankiem włościańskim otrzymał w przekładzie na język rosyjski i prace statystyczno-ekonomiczne, do których mapa jest komentarzem.

Mapą tą i pracami o kolonizacji niemieckiej polskiego ziemianina, zainteresował się i prof. Pogodin. Ten znów z innych powodów. Prof. Pogodinowi chodziło o więź żelaznych argumentów przeciw nowemu „kursowi neosłowiańskiemu" który, do rozwiązania kwestji słowiańskiej dąży, omijając tchórzliwie „kwestję polską", a zdaniem prof. Pogodina (no i narodu polskiego z wyjątkami), kwestje słowiańską można będzie rozwiązać dopiero po „radykalnym uleczeniu polskiej rany". To też w korespondencji, jaką prof. Pogodin przeprowadził z autorem, nazwał on materjał zebrany w cennej pracy p. Wiercińskiego, solidnym orężem i niezbitym dokumentem przeciw nowoczesnej akcji słowiańskiej, bagatelizującej lub przeskakującej przez kwestje polską. Z mapą o osadnictwie niemieckim w Królestwie zapoznał się i p. Chomiakowi również złożył za nią autorowi podziękowanie. A u nas o pracy, która autora kosztowała parę lat sumiennych studjów, stanowczo zamało się pisze i mówi.

Tłumaczy się to tym, że prace, oświetlające mapę, wyszły w poważnych, mało czytanych przez ogół pismach, bo w Bibljotece Warszawskiej (zeszyt z sierpnia r. z.) i w III tomie *Ekonomisty* zeszłego roku. Parę miesięcy temu wyszła oddzielnie mapa. A w najbliższym czasie wyjdą te rozproszone studja łącznie z mapą w jednej broszurce. Niechże ogół nasz nie przeoczy tego i niech w każdym domu polskim broszurka ta się znajdzie, aby treść w niej zawarta budziła w narodzie instynkt samoobrony, przeciw nowoczesnemu pokojowemu podbojowi, którym Niemcy nam grożą. Ku takiemu ostatecznemu celowi zmierza, z godną po-

---

wygnańców wpadło do wody i poczęło tonąć; książę wyciągnął ku nim rękę swą.

— A niechaj się bestje potopią — rzekł Saturn. — Na cóż nam one? Niegodne są, obmierzłe i potrzebne tylko nędznikom. Dla księżyca zguba ich będzie dobrodziejstwem. Żyjąc bowiem między nami, swą wonią smrodliwą skażą powietrze, a księżycową kulę naszą uczynią czarną i ciężką i będą przeszkadzać jej nadal barwić się w przestrzeni tęczowo na wzór bańki wodnej.

— Nie — odpowiedział książę — trzeba je ratować, nie chcę, by zginęły, żal mi ich.

Saturn, jako posłuszny sługa, pokornie usłuchał rozkazu pana i wespół z nim począł je z wody wyławiać. A one, wydarte niechybnej śmierci, wracając na pokład, wydawały piskliwe, odrażające krzyki radości.

— One nie są złe — rzekł książę — to wszak dzieci, zwierzęta i rzeczy.

Książę siadł na poprzednim miejsce, by je pożegnać.

I nagle głęboka cisza zapanowała na brzegu. Słowa, które przed chwilą hałaśliwie wbiegały w głąb lasu, wnet zeń wychodziły milczące, zdziwione i smutne.

— Dzieci moje — zaczął książę — oto odchodzę od was, lecz nie bez żałości i smutku. Żadne z was nie zawiniło niczym wobec mnie. W całym tłumie waszym niema ani jednego słowa, któregobym nie kochał serdecznie, ani jednego, aż do najnędzniejszego i najbrzydszego. Bo wy wszystkie, jako i ja, jesteście dziećmi księżyca. Wy posiadacie wszelkie dobra i zalety nizin, lecz, niestety, niema w was tego, czego ja szukam: skarbów, które są w przestworzu, myśli nadludzkich, dziwów i tajemnic nadksiężycowych, krain, niepojętych dla świata tego. Oto dlaczegom z pośród was pozostawił jeno kilka słów, bezradnych, słabych, przestrzennych, podobnych do duszy mojej, która jest, niby tchnienie wiosenne, cicha i skrzydlata.

A zwracając się w stronę zwierząt, rzekł:

— Bracia moi, biedni bracia moi, jeśli oddalam się dziś od tych z was, których Bóg nie obdarzył ni pięknem, ni strojnością, — to wiedzcie, że wszak porzucam i gołębie i owieczki i gazele...

A potym powiedział kwiatom:

— Przyjaciele moi, jeśli opuszczam dziś z pośród was te, które zwykłe są i bezbarwne, jak trawa, lub nędzne i ubogie, jak mech, lub kolczaste i brzydkie, jak pokrzywy i garbate kaktusy, lub cuchnące i jadowite, jak hyzop śmiercionośny, to precz odchodzę i róże cudne i barwiste, i lilje święte niewinnością i bielą, i tajemnicze, raz na wieki kwitnące, kwiaty paproci...

I książę zamierzał zwrócić się z pożegnaniem i do przedmiotów nieżyjących, lecz Saturn niepostrzeżenie podniósł kotwicę.

Okręt lekko zakołysał się na falach.

(D. N.)

dziwu wytrwałością, kolonizacja niemiecka na naszej ziemi. To trzeba wiedzieć, pamiętać o tym i przeciwdziałać temu zwycięskiemu pochodowi karnej kolonizacyjnej armji.

St. Poraj.

NA DOBIE.

Powitanie Czechów.

W chwili gdy pismo nasze znajdzie się w rękach czytelników — Warszawa przyjmować będzie w swych murach gości czeskich. Wspomnienie doznanej w zeszłym roku w Pradze serdecznej gościnności, którą darzono w równej mierze i działaczy politycznych i młodzież i włościan i wreszcie zbiorową wycieczkę Polaków na wystawę praską — zagrzewa do jaknajpełniejszego odwzajemnienia.

Niestety — prócz rozradowanych twarzy i łatwo zapalnych serc, nie ujrzą u nas bracia z nad Wełtawy nic takiego, czym byśmy się przed nimi poszczycić, z czegoby dla siebie korzyść osiągnąć mogli. Daleko nam do tego wszechstronnego rozkwitu kultury, oświaty, dobrobytu, do tego imponującego rozwoju rolnictwa i przemysłu, jaki osiągnęli już Czesi dzięki niezmordowanej pracy, wytrwałej energji, przezornej zabiegliwości.

Na obronę naszą powiedzieć możemy to tylko, że choć i oni pozbawieni są samodzielnego politycznego bytu, choć i oni o istnienie swe twardą staczać musieli walkę, jednakże my żyjemy w warunkach znacznie cięższych i zaledwie marzyć nam wolno o tej mierze swobody i samodzielności, jaką oni cieszą się już lat 40-ci.

Przeszłoroczne polsko-czeskie uroczystości odbywały się w nastroju całkiem różnym od obecnego. Oświetlały je złudne fajerwerki neosłowiańskie — po których w obecnej porze tylko gryzący dym i szary popiół pozostał. Rozczarowanie zupełne nastąpiło w tych grupach polskich i czeskich, które się łudziły, że na tle wszechsłowiańskiej solidarności rozwinie się plan szerokiej i zbawczej polityki dla obu narodów. Z mgły złudzeń wynurzyła się tylko jedna stale przez nas podnoszona prawda,że zbratanie się i zbliżenie dwuch narodów jest bez względu na pokrewieństwo rasowe, zawsze cenne, pożądane i możliwe tam, gdzie łącznikiem dla nich są wspólne potrzeby i dążenia, wspólny grunt kulturalny i ideowy.

Takich łączników między Polakami i Czechami istnieje wiele. Nikt też nie zaprzeczy, że społeczeństwo nasze dużo zyskać, niezmiernie wiele nauczyć się może przez zacieśnienie węzłów zażyłości z tym małym, lecz silnym, żywotnym i odpornym narodem. Nie na wiele nam się przydadzą wzory angielskie, francuskie, a choćby szwajcarskie, przykłady czerpane z życia ludów wolnych, potężnych, bogatych w środki materjalne i polityczne wpływy. Podziwiać można — naśladować niema sposobu.

Czesi, mniej imponując, więcej zbudować nas mogą.

Ich przykład poucza, jak bronić się przed zanikiem, zagładą, jak z całkowitego niemal unicestwienia, dźwigać się w górę, opierając się na najsilniejszej, najtrwalszej podstawie zbiorowej pracy i powszechnej oświaty, jak wreszcie z głębokich pokładów mas ludowych odradzać się i rozrastać może naród, dochodząc do pełnej świadomości swej siły, swych praw, polegający tylko na sobie i losy swoje we własnym dzierżący ręku.

Witamy dziś w gościach czeskich dzieci tego mężnego i hartownego ludu, który w twardej spracowanej dłoni wysoko podniósł sztandar demokracji i postępu.

Reakcja przy pracy.

Kiedy opadły nieco wody ruchu wolnościowego, na powierzchni ukazała się reakcja we wszystkich kierunkach i we wszystkich dziedzinach życia.

Niema w tym nic szczególnego. Jak każde dążenie naprzód, tak i każde cofanie się wstecz odbywa się jednocześnie na całej powierzchni istnienia ludzkiego. Konserwatyzm, czy postępowość nie mogą się pogodzić w duszy ludzkiej. Jest się takim lub innym nietylko w dziedzinie politycznej, ale jednocześnie i w poglądach religijnych, obyczajowych, etycznych, nawet estetycznych. Taką jednolitą całość stanowią nietylko jednostki, ale i całe grupy społeczne.

Reakcja nienawidzi nowych myśli, zasad, form nawet. Zwalcza je zawsze i wszędzie. To też dziś reakcja zmobilizowała wszystkie swoje siły, aby odzyskać utraconą władzę nad umysłami. Kiedy nasi działacze polityczni kierownictwo spraw narodowych pchają na tory nacjonalizmu, neo - ugody i neo - slawizmu, zwalczając z zawziętością wszystko, co się temu sprzeciwia, duchowieństwo coraz energiczniej opanować chce umysły, pedagodzy konserwatywnego autoramentu chcą zniszczyć to wszystko co szkolnictwo zdobyło dla indywidualności i godności człowieka w wychowaniu, a krytycy literaccy, są powołani do strącenia z piedestału wielkości „młodej Polski".

Takie zadanie wziął na siebie p. Weyssenhoff w szeregu artykułów w *Tygodniku Ilustrowanym.* W dwuch ostatnich numerach „zoperował" Wyspiańskiego. Pozbawił go oryginalności, głębi myśli i uczuć, wydrwił jego formę i język. Nie będziemy na tym miejscu omawiali tej sprawy. Kto inny z punktu literackiego artykuł p. W. w piśmie naszym rozbierze i sprawę szczegółowo zanalizuje.

Nam chodzi w tej chwili o co innego. P. Weyssenhoff i Wyspiański zajmują nas dziś nie indywidualnie, ale jako okazy pewnych gatunków. Może być, że w świadomości p. W. artykuły jego są rzeczywiście rozbiorami krytyczno - estetycznymi. Ale jest to złudzenie. Takie samo złudzenie mieli napewno Jabłonowski i Antoni Potocki, kiedy chcieli pognębić Żeromskiego, i wielu innych krytyków obozu konserwatywnego, którzy z pianą na ustach pisali o dziełach, które wprawiały w entuzjazm młodzież polską i takich krytyków jak Makowski, Matuszewski i t. d.

Wszystkie te krytyki, poprzednie i obecne, są jednak przedewszystkim walką reakcji z postępem, walką tego, co jest i było, z tym co nadchodzi, co nowe przygotowuje życie. Zwracamy zaś tutaj na niego uwagę dla tego tylko, aby wskazać jego wielką wagę. Nie należy lekceważyć artykułów p. W. Stanowią one cząstkę tej roboty, którą objąć można ogólnymi nazwami reakcji czy kontrrewolucji, a mają na celu wtrącenie z powrotem dusz polskich w mroki po przez które zaczęły się przebijać.

Wszystko, co dąży do światła, do lepszego życia, wobec objawów tego rodzaju, co artykuły p. W. powinno powiedzieć sobie: baczność!

M. P.

Naganka na „ludowców".

Najdotkliwszym kamieniem obrazy dla wszelkiego rodzaju wsteczictwa jest budzenie się postępowych prądów w tych warstwach, które, jako wydziedziczone z dobrodziejstw kultury i oświaty, stanowią naturalne podłoże reakcji. W pierwszym rzędzie rości sobie ona prawo wyłącznego duszowładztwa do ludu wiejskiego, który winien być zawsze potulny, przesądny, uległy, do tradycji przywiązany i nieruchomy.

Utrzymanie patryarchalnych stosunków na wsi, wyłączne rozciąganie skrzydeł opiekuńczych dworu

i plebanji nad słomianymi strzechami chat wiejskich— jest dla sfer konserwatywnych warunkiem utrzymania potęgi i wpływu w kraju. To też gniew i przestrach ogarnia je, gdy pod tymi słomianymi strzechami błyskać zaczynają światełka postępu, grożącego emancypacją dusz chłopskich. W ich języku nazywa się to „niszczeniem w społeczeństwie podstawy zdrowia i równowagi moralnej, jaką był dotychczas lud wiejski". *Głos Warszawski* Nr. 215.

Jestto więc bardzo zrozumiałym, że narodowa demokracja zieje nienawiścią przeciw tak zwanym potocznie „ludowcom", czyli tym pracownikom na niwie społecznej i oświatowej,którzy,hołdując zasadom szczerze demokratycznym, nie narzucają ludowi swej opieki, lecz uczą go jak sobie ma bez opieki radzić.

Głos Warszawski uderza na alarm i w artykule wstępnym p. t. „Zdemaskowani" szczuje przeciw nim opinję publiczną w właściwym sobie policyjno-intrygatorskim tonie.

Ubolewanie nad istnieniem w społeczeństwie prądów „na wpół zaledwie jawnych" trudnych do uchwycenia i skontrolowania, filuterne pokazywanie palcem pewnych znienawidzonych instytucji, jak kółek im. Staszica i szkoły dla gospodyń w Kruszynku, obok namaszczonego piętnowania ciemnej „roboty żywiołów, które postawiły sobie najwidoczniej za zadanie utrwalić i pogłębić stan anarchji i rozkładu moralnego, jaki ujawnił się podczas t. zw. ruchu rewolucyjnego..." zdradzają najwyraźniej ciche intencje piszącego i źródła jego apostolskiej żarliwości.

Niepodpisany autor cytuje dosłownie artykuł włościanina Jana Bielawskiego drukowany w *Zorzy* a sypiący na ludowców grad oskarżeń bardzo ciężkich, ale nad wyraz naiwnych. Zdaniem tego sfanatyzowanego kmiotka, Kółko ludowe w Pojałowicach jest całkowicie odpowiedzialne za wszystkie w okolicy dokonane kradzieże, za demoralizację nieletnich, za grę w karty i t. p. (zapewne na tej samej zasadzie, co włoscy masoni za trzęsienie ziemi w Mesynie).

Na dowód, zaś, że młodzież pozostająca pod wpływem „ludowców" ma „popęd do wszystkiego co najgorsze (sic)" przytacza fakt, że jeden z ich zwolenników na pewnym zebraniu zaproponował prosić miejscowego proboszcza, by odprawiał nieszpory po polsku, zamiast po łacinie. Zdaniem p. Bielawskiego miano *katolik* lub nawet *arcykatolik* „jest najzaszczytniejszym dla Polaka, bo Polska zawsze była katolicka i to jej szczęście i dzięki tylko temu, lud nasz jest dotąd polski"... Kto tego pewnika nie uznaje, kto duchowieństwo krytykuje lub ośmiela mu się przedstawiać jakieś życzenia w rodzaju powyższego, kto — o zgrozo! mówi ludowi, że człowiek od małpy pochodzi — ten naturalnie zdaniem p. Jana Bielawskiego „wytwarza z młodego pokolenia bandytów i zbirów",

Gorąco wtórują mu *Zorza* i *Głos Warszawski*, których przecież o naiwność posądzać nie można. Trudno przypuścić, aby redaktorowie tych pism wierzyli w ścisły związek między teorją Darwina i polskim śpiewem kościelnym z jednej, a złodziejstwem i bandytyzmem z drugiej strony!

Nie wierząc, udają jednak że wierzą, śmiejąc się w duszy z naiwnego zgorszenia p. Jana Bielawskiego, wtórują uroczyście jego „okrzykowi bólu i oburzenia" i wzywają do energicznego odporu „tych wszystkich, komu zależy na tym, ażeby ruch anarchji i demoralizacji nie stoczył najważniejszej i najliczniejszej warstwy narodu naszego".

Czy taką działalność można „pogodzić z prymitywnym nawet pojęciem dobra publicznego"?!

Ze strony *Głosu Warszawskiego* jednak nic nas nie dziwi. Ani z zasady, ani w praktyce „Nowoczesny Polak" nie myśli się krępować wyborem środków w walce z przeciwnikami politycznymi.

Własne wspomnienia nie przeszkadzają mu straszyć czytelnika „okropnymi skutkami, jakie pociąga za sobą szczepienie zasad zbarbaryzowanego i zbrutalizowanego materjalizmu wśród młodzieży wiejskiej". Niechaj się uspokoi, ludowcy nie kolportują wśród niej „Myśli nowoczesnego Polaka". *m.*

P. R. Dowiadujemy się, że Zarząd Kółek Staszicowskich dla zbadania i wyświetlenia sprawy wysyła specjalnego swego delegata do oskarżanego Kółka w P.

Zapytanie.

Na wystawie częstochowskiej grają orkiestry wojskowe. Ciekawa rzecz — kto się zajmował stroną artystyczną wystawy? Dotąd na wystawach naszych grywał Namysłowski. Nawet Wilno w r. 1902 wyrobiło pozwolenie na gościnę Namysłowskiego, zaś w r. 1902 sprowadziło orkiestrę Górskiego. Wieczorami, poza wystawą, koncertowała nasza Filharmonja. Jedyna więc atrakcja artystyczna — teatr pani Przybyłko-Potockiej. Ale to dla inteligiencji. A co dla chłopów? — wobec zakazu popularnych odczytów i koncentrowania akcji odczytowej wogóle w ręku księcia Lubomirskiego.

A. M.

NOTATKI SPOŁECZNO - EKONOMICZNE.

Prawo niemieckie o ubezpieczeniu chorych.

W chwili, kiedy społeczeństwo nasze poruszyła, a nawet oburzyła bezwzględna taksa lekarska, ogłoszona wówczas, gdy brak nam jeszcze wszelkiej organizacji pomocy lekarskiej dla ludności niezamożnej i ubogiej — nie od rzeczy będzie przedstawić czytelnikom tę organizację, która dotychczas uchodzi za najlepszą t. j. niemiecką.

Odnośne prawo niemieckie zostało wprowadzone w życie 15 czerwca 1883 r. W miarę rozwoju instytucji ubezpieczeniowych uwidoczniły się pewne braki i niedogodności, wskutek czego prawo to uległo kilkakrotnej modyfikacji i dopełnieniom; mianowicie w dniu 10 kwietnia 1892 r., 25 maja 1903 r. i 30 czerwca 1904 r.

Dzięki podstawowym zasadom i wprowadzonym nowellom, prawo powyższe najlepiej czyni zadość potrzebie.

Prawo z 1883 r. wprowadza przymusowe ubezpieczenie i obejmuje następujące kategorje robotników:

1-o osoby zajęte w górnictwie, kopalnich soli w zakładach oczyszczania rudy, kamieniołomach, w fabrykach i hutach, przy kolejach i żegludze wewnętrznej, w warsztatach okrętowych i przy budowlach.

2-o w przedsiębiorstwach handlowych (od 1903 r.) i rzemieślniczych.

3-o w biurach adwokatów, rejentów i komisarzów sądowych, w towarzystwach ubezpieczeń.

4-o w przedsiębiorstwach, posługujących się przy produkcji kotłami parowymi i silnicami.

5-o w biurach zarządu poczt i telegrafów, jak również w intendenturze, pozostającej pod zarządem marynarki i armji.

Organami ubezpieczeń są rozmaite kasy, kasy gminne, przemysłowe, korporacyjne, górnicze, kasy robotników budowlanych, wreszcie prywatne towarzystwa wzajemnej pomocy, o ile czynią zadość warunkom, wymaganym przez prawo.

Robotnicy, podlegający przymusowemu ubezpieczeniu, jeśli nie są zapisani w kasach fabrycznych i nie pracują w przemyśle budowlanym są zaliczeni w poczet członków kas gminnych, które pobierają określone składki.

Z prawa zakładania odrębnej fabrycznej kasy chorych korzystają ci przemysłowcy, którzy zajmują nie mniej niż 50 robotników. Jeśli produkcja przedstawia

specjalne niebezpieczeństwo, — pracodawcy obowiązani są do otwierania odnośnych kas, jak również i przedsiębiorcy budowlani, nawet jeżeli zatrudniają mniej niż 50 robotników. *Kasy robotników budowlanych* mogą być zakładane przez właścicieli większych, czasowo istniejących przedsiębiorstw budowlanych. *Korporacyjne kasy chorych*, zakładają cechy dla swoich czeladników i terminatorów.

Górnicze kasy wzajemnej pomocy, zakładane są na zasadzie przepisów prawa górniczego i zgodnie z nimi prowadzone. Przedsiębiorcy obowiązani są pod karą 20 marek zadeklarować w ciągu *trzech dni* o przybyciu lub opuszczeniu zajęcia przez podlegającego przymusowemu ubezpieczeniu.

Deklaracje o stałych mieszkańcach danej miejscowości składa się w zarządzie towarzystw pomocy, zaś o zamiejscowych w okręgu lub gminie. Po wykonaniu tych formalności robotnik nabywa prawo do zapomogi na wypadek choroby, (minimum i maximum zapomogi określają specjalne ustawy). Chory pracownik korzysta:

1-o z bezpłatnej pomocy lekarskiej i środków aptekarskich,

2-o na wypadek niezdolności do pracy, wywołanej niedomaganiem, chory otrzymuje zapomogę, która równa się połowie dziennego zarobku, zadeklarowanego w kasie ubezpieczeń.

Kasa dzieli ubezpieczonych robotników na kilka kategorji, według tabeli następującej:

			Zarobek przeciętny
I-a klasa	obejmuje zarobki dzienne,	nie przenoszące 4 m. 21 f.	— 4 m. 50 f.
II a	„ „	od 3 m. 21 f. — 4 m. 20 f.	— 3 m. 80 f.
III-a	„ „	od 2 m. 21 f. — 3 m. 20 f.	— 2 m. 80 f.
IV-a	„ „	od 1 m. 41 f. — 2 m. 20 f.	— 1 m 80 f.
V-a	„ „	od 1 m. 40 f. lub mniej	— 1 m. 30 f.

Zapomoga dla chorych pierwszej kategorji wynosi 2 m. 25 f. dziennie, zaś dla chorych piątej kategorji 0,65 fenigów. Zapomogi te wydawane są najpóźniej w trzecim dniu niedomagania, w wielu kasach na drugi dzień, zaś w razie wypadku zawsze i wszędzie tego samego dnia [1]).

Zapomogi udziela się przez czas choroby, trwającej nie dłużej niż *sześć* miesięcy (nowela 1903 r. uprzednio przez 13 tygodni) pomoc lekarską zaś nie dłużej niż przez *rok* jeden [2]).

Nadmienić tu jednak wypada, że w wypadkach kiedy niezdolność do pracy trwa dłużej niż sześć miesięcy, ubezpieczony pracownik wzamian otrzymywanej przez ten czas zapomogi, korzystać zaczyna z renty, przysługującej mu z racji niezdolnosci do pracy, przewidzianej przez odnośne prawo o ubezpieczeniach. Zapomoga ta wydawaną jest do czasu wyzdrowienia pracownika, udzielaną być może w formie bezpłatnego leczenia w szpitalu lub sanatorjum.

Prawo z 1883 r. rozciąga opiekę i nad kobietami w ciąży. Jeśli ubezpieczenie nastąpiło na sześć miesięcy przed rozwiązaniem, pracownica korzysta z prawa do zapomogi. Według statutów poszczególnych kas, okres sześciotygodniowy (poprzedzający czas połogu) uważany jest za okres niezdolności do pracy. Tym samym ubezpieczonej pracownicy przyznaje się bezpłatną pomoc lekarską i akuszeryjną.

Poza tym udziela się zapomogi na wypadek śmierci robotnika dla pozostałych członków rodziny. Wysokość zapomogi równa się wysokości przeciętnego zarobku dziennego pomnożonego przez 20 i więcej razy (do 40). Zaznaczyć tu należy, że niektóre kasy ponadto opiekują się rodziną zmarłego pracownika. Żona i dzieci w razie choroby otrzymują bezpłatną pomoc lekarską, co więcej, w wypadku śmierci matki, kasa wydaje zapomogę, wynoszącą $^2/_3$ sumy wydanej po śmierci głowy rodziny, zaś w wypadku śmierci dziecka $^1/_2$ tejże sumy. Opieka ta posiada wielce dodatnie znaczenie. W niezasobnej rodzinie robotniczej choroba lub śmierć w domu sprowadza poważny deficyt w rocznym budżecie pracownika. Udzielana zaś pomoc z kasy — z jednej strony pokrywa koszta leczenia lub pogrzebu, — z drugiej zaś, uprzedza apelację do „dobroczynności publicznej".

Kapitał asekuracyjny tworzy się ze składek. Oblicza się je podług stopnia niebezpieczeństwa grożącego zdrowiu pracujących w poszczególnych zawodach.

Każdy członek kasy ubezpieczeń płaci minimalnie $1^1/_2$% zarobku i maksmalne 4% (do 1903 r. maksmum wynosiło 3%).

Robotnik uiszcza $^2/_3$ składki, przesiębiorca zaś dopełnia je wnosząc pozostałą $^1/_3$. Pracodawca winien w końcu każdego miesiąca wpłacić do kasy należność za siebie i za pracowników [3]).

Poniższa tablica wskaże stosunek wkładów do dochodów i subsydjów do wkładów, ustanowiony przez jedną z kas lokalnych.

	Przeciętny zarobek dzienny	Składki tygodniowe		Zapomogi dzienne w razie choroby	Zapomogi w razie śmierci
		Ogólne	Część wpłacona przez robotników		
I	4 m. 50	0,81	0,54	2 m. 25	112 m. 50
II	3 m. 80	0,69	0,46	1 m. 90	95 m.
III	2 m. 80	0,51	0,34	1 m. 40	70 m.
IV	1 m. 80	0,33	0,22	0, 90	45 m.
V	1 m. 40	0,24	0,16	0, 65	32 m. 50

* * *

Każda kasa jest autonomiczną. Główną instancją kasy stanowi rada administracyjna, wybierana z pośród członków drogą powszechnego i tajnego głosowania, (na ogólnym zebraniu kasy). Rada z kolei wybiera biuro, które mianuje z pośród siebie kasjera, zawiadującego

---

[1]) Niektóre kasy, mianowicie t. zw. *Orts Krankenkasse* udzielają nadto zapomogi za dnie niedzielne i świąteczne.

[2]) Do liczby chorób, które dają prawo do zapomogi — choroby płciowe w 1903 roku zostały włączone.

[3]) Robotnikowi przysługuje prawo ubezpieczenia się w kilku kasach jednocześnie, pod tym jednak warunkiem, że suma zapomóg nie przeniesie wielkości przeciętnego zarobku dziennego. Przedsiębiorcy upoważnieni są do potrącania należności przy pierwszej wypłacie. W razie niewpłacania należności zarząd kas ściąga składki drogą przymusową.

funduszami instytucji. Rada administracyjna wybiera stałych lekarzy kasy, (którzy pobierają roczną pensję) podpisuje kontrakty z aptekarzami, chory najczęściej posiada prawo wyboru lekarza, zdarza się jednak, że zmuszony jest leczyć się u lekarza specjalnie wyznaczonego dla danego okręgu lub dzielnicy.

W takich podstawowych zarysach przedstawia się prawo z 1883 r. Aby uwydatnić jego znaczenie w praktyce godzi się przytoczyć kilka cyfr: Otóż w 1905 roku liczba kas wynosiła 23,303, obejmujących 11,400,000 ubezpieczonych robotników. W ciągu tegoż roku kasy wydały zapomogi na ogólną sumę 253,000,000 marek (od 1885—1905 wydano 2,708 miljonów marek).

Cyfry te świadczą o szeroko rozwiniętej inicjatywie i samopomocy społecznej. Przeszło 11 miljonów pracowników zostało ubezpieczonych na wypadek choroby, i ludzie ci drogą wysiłków własnych utrzymują się na powierzchni samodzielności, zwalniając tym sposobem ogół od „ofiarności" i opieki nad miljonami chwilowo nieprodukcyjnych członków. Prawo to cieszy się szeroką popularnością ze względów powyższych, jako też i z tego względu, że robotnicy sami decydują w sprawach bezpośrednio ich dotyczących.

Kolosalny rozwój instytucji ubezpieczeń, rozporządzających znacznymi kapitałami, wywołał ostatnio w Niemczech tendencję, zmierzającą do scentralizowania wszystkich istniejących kas i upaństwowienia funduszów. Przekształcenie organizacji społecznych na organizacje państwowe, zastąpienie urzędników z wyboru funkcjonarjuszami państwowymi — niekorzystnie odbiłoby się na przyszłości instytucji, albowiem funkcje kas zostałyby dostosowane do jednego szablonu, różnorodne, często lokalne warunki nie byłyby dostatecznie uwzględniane, co zaważyćby mogło na rozwoju poszczególnych kas. Pozatym działalność i inicjatywa funkcjonarjuszów państwowych, zmuszonych pracować według określonych i narzuconych dyrektyw, ulegałaby stopniowemu ograniczaniu do punktu, skąd się zaczyna mechaniczne wypełnianie zwykłych obowiązków służbowych. To też ogół zainteresowanych pracowników zajął nieprzychylne stanowisko względem tendencji państwowej, przez co urzeczywistnienie projektu w drodze prawodawczej jest bardzo wątpliwe.

Henryk Lukrec.

LITERATURA i SZTUKA.

Leopold Staff: **Igrzysko**. Nakł. księg. B. Połonieckiego we Lwowie 1909.

Jeżeli Staff od pierwszych swoich występów zdradzał skłonność do klasycyzmu, która tak jaskrawo się uwydatniła w „Gałęzi kwitnącej", to po „Igrzysku" możemy powiedzieć, że autor ten przestał należeć do modernizmu polskiego.

Byliśmy świadkami wielu złamanych nadziei, wielu wstecznych kroków ze strony tych, których ogarnęło nagle przerażenie, że tak daleko naprzód posunąć się mogli. Czyżby ten nastrój przedostawał się do literatury, czyżby literatura stawała się nędznym zwierciadłem, zamiast być rylcem, rzeźbiącym glinę życia? Czyżby na nieostygłych prochach Wyspiańskiego zapanowała reakcja literacka?

Już znowu wydobywają się na jaw, zapomniane trochę dzięki Bogu, Weyssenhofy, Prusy, Rodziewiczówny. Już ręka starego pedagoga z rózeczką na niegrzeczne i nieutylitarne dzieci sięgnęła do skroni, uwieńczonej laurem i cierniem, nie mogąc w swej karłowatości, pomimo wspinania się na palce, dosięgnąć tej wysokiej, genialnej skroni i wywołując śmiech, jako efekt jedyny.

Po cóż w tej chwili odrzucać pancerz, rdzawy od krwi wielkich bojów ducha, by wdziać wygodną i miękką togę klasyczną? Może to najodpowiedniejsza szata dla tego znużenia, które tkwi w całym utworze?

Staff zaczął swe dzieło pod znakiem agnostycznego nietzscheanizmu. Zupełnie ziemska dola, zupełnie ziemski czyn.

Ogromny hart ducha w wytrwaniu wobec wiedzy, że wszelka tajemnica jest tylko niezapisaną księgą w przeciwstawieniu *stawania się* wszelkiemu *bytowi*. Mężne wykuwanie własnego serca, rzeźbienie siebie — nadczłowieka. Lecz czy na długo ostał się ten harmonijny indywidualizm? Czy nie było w nim tego, co w końcu musiało wywołać uczucie pustki i znużenia? Czy sam pochód — niezależnie od tego, jakim jest cel — może wystarczyć i dać uczucie pełni przez same przygody wędrowne i czy w końcu potrzeba określonej, *interesownej*, bo celowej mety nie przeważy na szali tęsknot?

Nie, nie dość samego upojenia pochodem, procesem dokonywania. Chodzi o to, *co* się dokonywa. I streszczeniem tego nowego etapu rozwojowego poety jest „Igrzysko."

Forma klasyczna Staffa w „Igrzysku" przykro razi, jak rzecz oklepana. Jest tam znany obraz dekadencji rzymskiej, do znużenia znana uczta Trimalchionowska, do znużenia znani niewolnicy, tancerki i pochlebcy. Odrzucił tu Staff nawet swój mistrzowski, kowany rym, by tym snadniej do pierwowzorów się zbliżyć. Lecz treść jest nasza, całkiem nasza, bardzo blizka i współczesna. Zagadnienie swoje ujął Staff z właściwą sobie głębią. Zagadnienie — bo wierzyć się nie chce, aby zamiarem jego było tylko przedstawienie psychologji aktora. Świadomie czy nie świadomie, roztoczył tam Staff szerszy horyzont.

Doskonale wżywa się Staff w psychikę aktora w której w końcu budzi się najbardziej ludzkie pragnienie — rzeczywistości.

W artyście budzi się człowiek, który chciałby kształty stwarzane ujrzeć w życiu — wielka, religijna potrzeba każdej prawdziwej sztuki. To, co się przeżywa na scenie, jest rzeczywistością — cóż bardziej rzeczywistego, nad własne przeżycia? Lecz życie takie, rozwijając się w dalszym ciągu, konsekwentnie rosnąc, chce być prawdą, nie tylko grą chwilową. I wzdryga się smutno na oklask, przypominający, że to „nowa rola". Pod wszystkimi maskami wykrzywia się tragicznie własne, cierpiące oblicze. Aktor chce choć raz „zagrać siebie", wyrzucić ze siebie pragnienie istotnej, nie kłamanej wielkości:

> Dajcie mi w końcu choćby rolę taką,
> Bym w niej mógł wygrać siebie, jeśli siebie
> Wyżyć nie mogę.

„Za możliwość śmierci za wielką wiarę" gotów jest umrzeć sceptyczny i zniechęcony pogrobowiec. „Bogi nasze już nie wierzą w siebie, więc mi są niczym, kiedy gram w ich szatach". Wśród względności wszystkiego, wśród ziemskości, która ziemię uczyniła swym celem i ponad ziemię nie wybiegła, wśród beztroskiej biesiady, gdzie wesołość nie szuka przyczyn i mety, rodzi się tęsknota, aby życie to, życie przyjemne ożywić taką surową powagą, odnaleźć w nim taką prawdę, która równoważy jego wartość. Po co życie, jeżeli niema w nim tego, za co umrzeć warto, umrzeć nie dla okazania *swojej* doskonałości, lecz dla *prawdy* samej?

To jest kres wybujałego indywidualizmu epoki ubiegłej, Takim rozdźwiękiem kończy swój bieg pełen pychy, naiwnej pychy nieświadomego dziecka.

> Lecz niema siebie, ach, bez wiary w prawdę.
> Bogi umarły, a niema człowieka.

Tragiczny smutek wieje z tych słów konającego Filemona. Lecz w smutku tym jest nowa radość. Przyjdzie nowe pokolenie. Władztwem jego będzie nie tęsknota za prawdą, lecz prawda sama.

Savitri.

Erastow: **Pod Laojanem**. (z rosyjskiego). Warszawa 1909 r.

Nazwisko Erastowa jest — zdaje się — nowym w literaturze rosyjskiej. W każdym razie występ godny uwagi. Jest to pisarz, który chwyta życie *sur le vif*, że zaś znajdował się w środowisku zdarzeń epokowych i widział z blizka najważniejsze epizody wojny japońskiej, więc też jego opowieść jest malowniczym sprawozdaniem tej okropnej demaskarady, która obnażyła nicość pozornej potęgi Rosji — i wykazała bezsilność całej machiny biurokratycznej tam, gdzie wymaganą jest istotna konieczność wykazania realnej potęgi. Wobec ścisłej i celowo przygotowanej odrodzonej Japonji—średniowieczny ustrój państwa Rosyjskiego stał się obrazem niemocy.

Rzekłbyś Japonja wobec Rosji była jak Hiszpanie wobec Meksyku, stal wobec bronzu.

Po za tą zewnętrzną stroną wojny, autor wystawia nam cały szereg obrazów niesłychanej korupcji intendentury, wszelkich zarządów i dyrekcji, organizację rabunku, złodziejstwa, łapownictwa i rozpusty, a pod przezroczystymi nazwiskami Rizendampfa, Gromiłowa, Dawidenki — maluje nam realne postacie najbardziej wsławione samowolą i zachłannością w czasie ostatniej wojny.

Opis bitwy pod Wafangou i *anabasis* pod Laojanem — przedstawione ze znawstwem rzeczy, nawidoczniej przez fachowca.

Z. Kw.

Emilja Topass - Bernstajnowa: **Z nizin**. Str. 106. Warszawa 1909. Wydawnictwo *Nowości Literackich*.

Kartka dodana do egzemplarza recenzyjnego zapewnia, że „z nizin" jest to zbiorek nowel przeważnie z życia ludu. Jestem zgoła innego zdania o tej książce. Uważam ją za zbiorek rodzajowych obrazków, niewprawną ręką kreślonych. Po Rejmontowskich „Chłopach" trzeba mieć faktycznie coś do powiedzenia, by się odważyć wystąpić publicznie z książką na tle życia ludu. Maestrji językowej w książce p. Topass - Bernstajnowej dopatrzyć się trudno, pogłębień psychologicznych, czy też światopoglądowych, rzucających nowe światło na „niziny" również doszukać się nie można.

Karteczka przyłączona wspomina jeszcze, że „z trudności używania języka ludowego, autorka wywiązała się z umiarem". Niestety — „używanie języka" składa się nie z kompilacji poszczególnych słów, ale polega na owładnięciu *duchem* języka. Gdyby tylko o pierwsze chodziło p. Bernstajnowa bowiem byłaby naprawdę wywiązała się z zadania dobrze.

Książeczka p. Bernstajnowej, pozostanie zapewne tylko w szafach, bibljoteczkach, gdyż nic nowego nie dodaje do pałacu pracy w kulturze polskiej.

Eustachy Czekalski.

Stanisław Cieszkowski: **Aleksander I i konstytucja.** Warszawa 1909 str. 115. Nakładem *Nowości Literackich.*

W pracy swojej p. Stanisław Cieszkowski kolejno przesuwa przed czytelnikiem dzieje panowania cesarza Aleksandra I. Pokazuje jakim wpływom podlegały jego zapatrywania na konstytucję w Rosji — streszcza w ogólnych zarysach ideę konstytucji tego czasokresu. Projekty ks. Bezborodki, hr. Strogonowa, Czartoryskiego — wpływ nauczyciela Laharpe'a— znajdują wyraz w pierwszym rozdziale. Plany konstytucyjne Karamzina, Speranskiego — a następnie Arakczejew a z nią metamorfoza zapatrywań Aleksandra aż do niemego sejmu w 1825 — to tylko dowody wyświetlające wolę i psychologję rosyjskiego cesarza. Historycy idealizujący Aleksandra i wszystko przypisujący na karb zewnętrznych jak i wewnętrznych czysto rosyjskich czynników znajdą w książce p. C. obalenie tego mniemania. Podkreślając dwulicowość rosyjskiego monarchy, dowodzi jej źródłowymi danymi, które ukształtowały charakter Aleksandra.

Despotyzm, mimo różanych fantasmagorji młodzieńczości, był wrodzoną, instynktowną właściwością jego natury. „Komitet zbawienia publicznego" „Rada Państwa" — oraz inne reformy, które nigdy w życie nie weszły, gdyż czynnej, przeciwstawiającej się roli nie odegrały — oto wyniki „jakobińskich" marzeń Aleksandra.

Uwzględniony w książce p. Cieszkowskiego kierunek polityki monarchy rosyjskiego ku Polakom — ciemnymi barwami zarysowuje przed nami przeszłość warunków w jakich znajdowaliśmy się. Praca p. Cieszkowskiego należy do rzędu bardzo pożytecznych Pisana językiem jasnym i plastycznym — może liczyć na szerokie grono czytelników.

Eustachy Czekalski.

Prof. Karol Vollers: **Religje świata w ich związku dziejowym**. Przekład z niemieckiego. Nakład Księgarnicy Naukowej i Artystycznej. Kraków 1909.

W polskiej literaturze naukowej niema dotąd ani jednego podręcznika historji religji, któryby treściwie przedstawił czytelnikowi gienezę i rozwój wielkich religji świata i podał dotychczasowe zdobycze dociekań w tej dziedzinie wiedzy. Niema nawet ani jednego przekładu za znakomitych podręczników tego rodzaju, jakie w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy rozchodzą się w Niemczech, we Francji i w Anglji. Nauka historji religji należy u nas do najbardziej nieznanych przedmiotów badań; mało kto wie o olbrzymim rozwoju tej nauki w ostatnim dwudziestoleciu na Zachodzie, o studjach i dziełach wartości epokowej, o nowych teorjach, hypotezach i odkryciach. Stąd też do najpłytszych sądów, jakie się u nas wydaje, należą te, które dotyczą wierzeń i pojęć religijnych. Zaś absolutnie obcą u nas jest dziedzina porównawczej historji religji, mimo że złożyła się na nią już przeszło stuletnia praca badaczy od Meiners'a począwszy, a skończywsy na dzisiejszych uczonych, jak Kuenen, Vernes, Goblet d'Alviella, Reinach, Chantapie de la Saussaye i wielu innych.

Dlatego też dzieło Vollers'a w przekładzie polskim względną tylko korzyść może przynieść czytelnikowi: w pracy tej chodzi o wykazanie ścisłego związku jednoczącego wszystkie wielkie religje i wzajemnego wpływu na ich formację, a więc ten, kto nie jest choćby powierzchownie obeznany z dziejami tych religji, nie będzie mógł łatwo zorjentować się w ich historji porównawczej.

Autor zwięźle (może zbyt zwięźle i zbyt kategorycznie) poddaje badaniom porównawczym religje Babilonu i Assyrji, religję Starego Testamentu, religję perską, wedyzm, bramanizm, buddyzm, chrystjanizm i islam. Vollers posiada wielką erudycję, przedstawił więc w swej książce ogromną ilość zjawisk i wierzeń wspólnych wszystkim religjom i postarał się ową wspólność wyjaśnić. Atoli wyjaśnienia jego są, jak powiedziałem, zbyt kategoryczne. Wiele z tych zagadnień, które rozstrzyga on na kilku stronicach, stanowią po dziś dzień punkty sporne, a spór między badaczami zajmuje jeszcze dziesiątki tomów (np. zagadnienia wchodzące w zakres egzegetyki biblijnej). Bar-

dziej więc cenną jest ta książka przez nagromadzenie ciekawych faktów, niż przez ich interpretację.

Szkoda, że w podanej na końcu książki literaturze przedmiotu brak ściślejszych wiadomości o miejscu wydania i adresie wydawców wyliczonych dzieł. Wskazówki takie przydałyby się polskiemu czytelnikowi, który zainteresowawszy się przedmiotem, mógłby niektóre dzieła sprowadzić. Takie dopełnienie powinien zawsze dawać sam tłumacz, a uczynić to nie trudno: można skorzystać choćby z odpowiednich katalogów.

Józef Wasercug.

TEATR MAŁY: **Król Kandaules** — André Gide'a. **Odrodzona Ewa** — Heleny Rozgorskiej.

Teatr Mały ma tę zaletę, że dyrekcja stara się zawsze, aby pod względem literackim jego repertuar stał zawsze na wysokości zadania — czy to co do wyboru sztuk zagranicznych czy też co do nowości sztuk krajowych. — W ciągu dwuch ostatnich tygodni T. M. wystawił dwie nowości, nierówne co do polotu i siły, ale obie w ten lub ów sposób interesujące. Pierwsza z tych sztuk to wytworne dzieło pisarza francuskiego André Gide'a, którego oryginalne pisma, jak „Prometeusz źle spętany", „Filoktet" upowszechnił u nas Miriam. Nowy jego utwór p. t. „Król Kandaules" jest niemniej kunsztownym i pełnym finezji dramatem, ułożonym w doskonałym, mistrzowskim djalogu prozą. Ekwiwalentem tej prozy w języku polskim, mógłby być jedynie piękny przekład wierszowany, gdyż niema w języku polskim tak doskonałej prozy. Owóż przekład p. A. Nowaczyńskiego jest dobry jako reprodukcja prozy Gide'a ale nie jako ekwiwalent. W tłumaczeniu jest proza bardzo podrzędna — i nie oddaje należycie poezji zawartej w słowach oryginału. To jest pierwsza mojem zdaniem wada w wystawieniu tej sztuki.

Drugą wadą jest ubóstwo środków zewnętrznych — dekoracji i t. d., jakimi rozporządza Teatr Mały. Jest to bowiem sztuka wymagająca bogatej, barwnej wystawy. Nakoniec wykonanie: o tym powiemy później, a przedtym jeszcze musimy wytłumaczyć dyrekcję, że nie mogła wystawy dać należytej dziełu Gide'a. Jest to wina publiczności, która zbyt skąpo odwiedza ten teatr. Niewątpliwie „Król Kandaules" jest to dzieło za wysokie i za wykwintne dla warszawskiej publiczki: nic też dziwnego, że ją omijała; nie jest to ani bomba teatralna z hukiem strzałów i bębnów ani farsa z koziołkami; jest to poprostu sztuka, która zmusza do myślenia. Po co się zmuszać do tak bezużytecznej funkcji, gdy lepiej pośmiać się na farsie lub w kabarecie. Rodzi się więc pytanie: jak można wystawić sztukę, która po 4-ch przedstawieniach schodzi z afiszu? Bardzo ubogo.

A jednak jest to dzieło piękne: tchnienie wielkiej poezji i wytwornej myśli dochodzi tu do nas. Prastara Herodotowska legienda przybrana w formy djalogu o szczęściu, przesyconego wątpliwościami Szopenhauera, rozwija się w szeregu barwnych symbolicznych obrazów.

Szczęśliwy Kandaules trapi się nadmiarem szczęścia: panowanie, bogactwo, piękność, młodość, nakoniec miłość w postaci pięknej żony przypadły mu w udziale. Zapragnął on zwieść na pokuszenie swe szczęście: więc Gygesa nędzarza podnosi do wyżyn swego bogactwa i ukazuje mu szczęście najwyższe: swoją żonę. W rybie przyniesionej przez Gygesa, znaleziono tajemniczy pierścień, z napisem: kryję szczęście! Ten pierścień czyni niewidzialnym. Nyssa zostaje nieświadomie kochanką niewidzialnego Gygesa a potym, oburzona na Kandaulesa że ją tak perwersyjnie oddał na pastwę obcemu mężczyźnie, każe niewidzialnemu Gygesowi zabić męża. — Gyges też kładzie na głowę koronę Kandaulesa.

Taki jest schemat sztuki, która ma jakiś daleki zapach djalogów platońskich i obrazów herodotowskich, przeniknionych ironią paryską i sceptycyzmem XIX w. — Oczywiście jest to utwór, wymagający gry poprostu mistrzowskiej; jest to bowiem symfonia, w której jeden akord fałszywy — psuje wszystko. Niestety, pomimo wysiłki pojedyncze, całość nie była odegraną tak, jak to być powinno.

Gra była o tyleż niższa od tego, czego można było wymagać, o ile przekład jest niższy od oryginału.

Jedna tylko pani Pytlińska w klasycznej, mało ruchu wymagającej, deklamacyjnej roli Nyssy — wywiązała się ze swego zadania wcale poprawnie. Przyzwoicie jej sekundowali p. Rożański, jako Kandaules i p. Staszkowski, jako Gyges. Wdzięczny taniec grecki odtańczyła p. Franczeska Beata.

Jakkolwiek sztuka zeszła z afisza, miejmy jednak nadzieję, że gdy minie sezon martwy, dla wrześniowych słuchaczy Teatr Mały ją powtórzy.

Przejdźmy teraz do drugiej nowości T. M. — Jest to sztuka p. t. „Odrodzona Ewa", „z życia średnio-inteligientnych żydów (sic) p. H. Rozgórskiej, autorki nieznanej, która maluje nam obrazy z życia żydowskiego. — Obrazy takie byłyby rzeczą niezmiernie ciekawą, gdyby nam dawały pewne momenta etno - psychologiczne.

Rodzi się pytanie, czy i o ile p. Rozgórska wykonała to zadanie. Przy bliższym wejrzeniu okazuje się, że, prócz jednego swata, niema tam nic charakterycznie żydowskiego: jestto przeciętny obraz mieszczański, cale kosmopolityczny, a problemat sztuki jest to naiwny, bardzo panieński problemat: czy lepiej wyjść za mąż z miłości, czy dla interesu.

Sztuka p. Rozgórskiej nie zawiera w sobie żadnego dramatu: jest to szereg luźnych obrazów — zeszytych bardzo ubogą treścią. Panna Ewa Frühling ma już lat 24, a jeszcze za mąż nie wyszła. Swat znalazł dla niej bardzo miłego kawalera: panna się oburza, ale potym okazuje się, że wybór był dobry: panna go kocha! Posag jej wynosi 5,000 r., ale kiedy Albert otrzymał lepszą posadę, matka jego żądała podwyższenia posagu. Jakoż młody człowiek przychodzi do Ewy, by tę sprawę uregulować, lecz ostatecznie się cofa i dla miłości chce poświęcić wymagania matki. Cała ta kolizja tak wstrząsnęła Ewą, że — mimo wszystko — odrzuca Alberta — i postanawia iść w świat, by samodzielnie pracować. To jest jej *odrodzenie.*

Naiwna ta historja jest przeprowadzona bez tragizmu, lecz czysto opowiadawczo, zwłaszcza, że główna bohaterka Ewa jest to zupełnie blada i papierowa figura, nic życia nie mająca w sobie. Inne poboczne postaci zwłaszcza swat, narzeczony i ciocia Rózia — są naszkicowane bardzo dobrze i wogóle karykatura autorce udaje się lepiej, niż poetyczność. Sceny masowe, spory, hałasy etc. idą żywo i czasami zabawnie. Pierwszy akt jest dobrze zbudowany i zapowiada się ciekawie, ale w drugim i trzecim interes sztuki znika, całość się rozpływa i traci oś życiową. Rzecz staje się nieco mdła, przeplatana całym szeregiem niepotrzebnych figlów babci i dwojga dzieci. Wogóle sztuka z wielką dla siebie korzyścią mogłaby być *określona*, przez co uniknęłoby się dłużyzny i jałowych scenek. Nie da się zaprzeczyć, że autorka ma talent.

Bo choć tu i owdzie przypomina się Zapolska (*Małka Szwarcenkof, Pani Dulska*), p. Gorkij (*Na dnie, Mieszczanie*), Asz (*Droga do Sjonu*), a nawet Wyspiański, to jednak autorka podpatrzyła z życia mnóstwo szczegółów i oddała je z dużym realizmem, rysując szereg bardzo ciekawych charakterystycznych figur, z których jednakże, poza osobliwą gwarą, znana już z Kolców i Junoszy, starła cechy rasowe. Idzie tylko oto, aby p. Rozgórska umiała sztukę *budować* nie zaś *kleić.*

Grano rzecz wcale dobrze: zwłaszcza p. Noskowski, w roli swata był wprost doskonały. Również wyborna p. Staszkowska w roli cioci. P. Łącka-Pawłowska robiła co mogła aby ożywić anemiczną postać Ewy, natomiast figlarną Felę, z życiem grała p. M. Kamińska. P. Lipczyński umiał podkreślić dość niewyraźne kontury roli Alberta, narzeczonego Ewy. Choć nie można tego spektaklu nazwać udanym, to jednak były w nim elementa godne uwagi — i należy raz jeszcze podnieść zasługę dyrekcji Teatru Małego.

A. L.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* *Nowa Reforma* podaje ciekawe szczegóły o funduszach składanych przez Niemców Austryjackich na cele szkolne. *Wiener Tageblatt* umieścił w tych dniach artykuł wiceprezesa austryjackiego „Schulvereinu", a treść jego jest wprost prowokacyjną. Chodzi mu mianowicie o fundusz Roseggera, zbierany wyłącznie na szkoły niemieckie jako twierdze niemczyzny w Austrji i rozsadniki giermanizacji w państwie, jak wiadomo złożonym przeważnie z żywiołów różnoplemiennych. „Schulverein", zdaniem autora von Wotawa, powinien przedewszystkim utrzymać przewagę niemiecką na kresach, a tymczasem panują tam tak smutne stosunki, że na Morawach, w Śląskim okręgu przemysłowym, w wielu okolicach Czech dla mnóstwa dzieci niemieckich braknie szkół, pobrzeże nad Adrią odmawia zakładania szkół niemieckich [1]) a galicyjska gmina niemiecka Mariahilf pod Kołomyją według słów autora „nie może wyżebrać od polskiej rady szkolnej założenia dla niej publicznej szkoły", pomimo że w gminie tej jest 700 mieszkańców niemieckich. Wreszcie z rozczuwającą szczerością Ritter von Wotawa zdradza, że w Czechach i Śląsko-morawskim Zagłębiu szkoły niemieckie powinny zabiegać nie tyle o utrzymanie Niemczyzny, lecz o „zgiermanizowanie tamtejszej ludności słowiańskiej".

Tymczasem Schulverein nie zdołał spełnić tych wzniosłych zadań, gdyż fundusz Roseggerowski nie dosięgnął jeszcze 2 miljonów, a ofiarność publiczna osłabła.

Taką jest mniej więcej treść utyskiwań wiceprezesa Schulvereinu. *Nowa Reforma* zestawia te dezyderaty z akcją Daru Grunwaldzkiego, którego celem jest nie wynaradawianie, lecz obrona naszej mniejszości przed obcą zaborczością.

> Niemcy na cele agresywne, rabunkowe „Schulvereinu" w myśl inicjatywy Roseggera zebrali dotychczas — a raczej zdeklarowali 300 „cegieł" po 2,000 koron, czyli razem 600,000 kor. Jakim jest zaś dotychczasowy rezultat „Daru Grunwaldzkiego?" Otóż do dnia 1 sierpnia zdeklarowano u nas składek na sumę 848,674·45 koron, na którą we Lwowie i Krakowie wpłacono do tego dnia gotówką 65,318·43 kor. Ile na fundusz Roseggera gotówką wpłynęło, pan Wotawa nam nie wyjawia. Pod względem zdeklarowanej kwoty *prześcignęliśmy* więc znacznie akcję niemiecką — jakkolwiek nasza akcja trwa nie tak długo. U Niemców atoli, jak zaznacza p. Wotawa: „długo trwa, zanim myśl zbawienna przyjmie się i porwie ogół, lecz potym już rychło w czyn się zamienia". U nas zaś dzieje się przeciwnie. Myśl taka w pierwszej właśnie chwili wywołuje wielki zapał i gotowość do czynu, ażeby rychło zamienić się w ogień słomiany i zgasnąć przed dopięciem celu.

[1]) Jak wiadomo czytelnikom *Prawdy* z drukowanej przez nas pracy „Statystyka narodowości w Austrji" — Niemcy stanowią w Istrji, Gorycji, Tryjeście tylko 3%, w Dalmacji zaledwie 0,4%. Nic dziwnego jeśli Dalmatczycy nie śpieszą dla nich osobnych szkół zakładać.

> Niestety — zanosi się już niemal na to, że i z „Darem Grunwaldzkim" także tak będzie! Ofiarność na ten cel już zaczyna słabnąć, zanim jeszcze ogarnęła całe społeczeństwo! Biorą w niej udział tylko pewne sfery i koła społeczne: mieszczaństwo, inteligiencja, urzędnicy, młodzież. Obojętność zupełną dla wielkiego tego narodowego celu okazuje ogromna większość naszej arystokracji, naszego ziemiaństwa a niemniej nasze duchowieństwo. A przecie są to sfery, które w spełnianiu obowiązków narodowych wszystkim innym dobrym przykładem przyświecać powinny! I pod względem terytorjalnym ofiarność dla „Daru Grunwaldzkiego" nie objawia się równomiernie; jest znacznie większa we wschodniej, niż zachodniej Galicji.

Brak wytrwałości jest charakterystyczną cechą naszego społeczeństwa, a w każdym przedsięwzięciu w każdej najbardziej palącej potrzebie ujawniamy brak jednolitości. Kler, arystokracja i w znacznej części ziemiaństwo nie biorą żywego udziału w składkach na dar Grunwaldzki — bo niema tu okazji dostania orderów, tytułów ani nawet awansu w karjerze politycznej — a to przecie tylko wzrusza szlachetnie urodzone serca — zaś czas i pieniądze ofiarowują zwykle ci, których czas pochłonięty pracą na chleb powszedni, a środki materjalne wystarczają ledwo na utrzymanie rodzin.

A jednak nieustannie odzywają się głosy, nawołujące do pracy od podstaw w zwartych szeregach. Pismo *Zagłębie*, drukujące się od kilku tygodni w Sosnowcu, zamieściło szereg artykułów p. t. „Nasza Praca" pióra A. Warwaszyńskiego. W pięknych słowach autor motywuje potrzebę pracy; minęły czasy szumnych frazesów patryjotycznych — miłość kraju swego nietyle w słowach co w czynach okazać należy — a na miano bohatera dziś zasługuje ten, kto uboższy nie tyle w zapał co w wytrwałość i silną wolę śmiało podejmuje pracę dla podźwignięcia ojczyzny. Naród, który przez pracę podnosi byt swój ekonomiczny nie zginie, lecz z martwychwstać musi. Do tego dążyć należy wszelkimi środkami, a nadewszystko starać się oto by na każdym polu wychowywać pokolenia zdolne i wytrwałe.

> Podstawą wszelkiej pracy społecznej jest praca nad rozwojem ekonomicznym narodu. Naród biedny, naród żebrak, choćby nawet liczebnie stanowił siłę poważną, choćby miał wszelkie prawa historyczne, choćby miał tradycje najświetniejsze pozostanie zawsze w cieniu, będzie zawsze kopciuszkiem wśród rodziny narodów.

W dalszym ciągu autor stawia przykłady, jakimi drogami dążyły inne narody do podźwignięcia się ekonomicznego, zaczym podniósł się nietylko ich byt materjalny, lecz i polityczny. W jaki sposób osiągnąć takie wyniki, zamierza autor wskazać w dalszym ciągu szeregu artykułów o pracy.

W tym samym numerze *Zagłębia* czytamy niezmiernie ciekawe sprawozdanie ze szkoły ślusarskiej, istniejącej przy fabryce rur Huldschinskiego. Zarząd fabryki otworzył ją wyłącznie dla synów swych robotników od lat 14; kształci się w niej obecnie 32 uczniów, praca trwa od godz. 7 rana do 5 po południu z półtoragodzinną przerwą na śniadanie i takąż na obiad. Prócz narzędzi ślusarskich, zakład posiada warsztat stolarski, a stale dwuch chłopców uczy się rysunków technicznych w biurze zakładów przez tydzień, poczym ci dwaj zastąpieni są przez innych. Chłopcy są płatni od 15 kop. dziennie, po pół roku płaca dzienna podniesiona bywa o 5 — 10 kop. Kiedy chłopiec ukończy lat 16 — przeniesiony jest do warsztatów fabrycznych i tam się specjalizuje. Co miesiąc zarząd fabryczny urządza konkursy z nagrodami pieniężnymi, z tym jednak warunkiem, że pieniądze umieszczone być muszą w kasie oszczędności. Dotychczas szkoła idzie znakomicie, chłopcy uczą się chętnie, a na wystawę Częstochowską przysłali całą kolekcję różnych narzędzi własnego wyroba.

Jest to pierwsza próba tego rodzaju w Królestwie, a wyniki jej przedstawiają się tak dodatnio, że przykład Huldschinskich powinien być zachętą dla innych właści-

cieli fabryk. Wychowywanie dzielnych i uzdolnionych pracowników jest jedną z najbardziej palących potrzeb — a ułatwienie kształcenia dzieci robotnikom wytworzyłoby zupełnie inny stosunek między pracodawcami, na czym i jedni i drudzy zyskać by mogli.

Zagłębie w ogóle przedstawia się zajmująco, porusza jak widzimy aktualne kwestje. — Oby śmiało kroczyło na drodze postępu, ku pożytkowi ogólnemu.

KRONIKA.



— W Turcji trwa silny nastrój wojenny. Pod naciskiem opinji publicznej rząd wysłał do Grecji notę, w której grozi odwołaniem całego swego poselstwa z Aten, jeżeli Grecja wyraźnie nie oświadczy, że niema żadnych zamiarów aneksyjnych względem Krety. Notę tę uważają powszechnie za ultimatum. Grecja miała podobno odpowiedzieć, że Kretę uważa za depozyt czterech mocarstw opiekuńczych, do których też wyłącznie należy ocena tego, co się tam dzieje. Apeluje zatym Grecja do mocarstw kreteńskich ze szczególnym uwzględnieniem Francji. W tureckim ministerjum wojny wre gorączkowa praca. Na przedmieście Konstantynopola Tanaple, zamieszkałe prawie wyłącznie przez Greków, wysłano kilka kompanji piechoty, aby powstrzymać niespokojne żywioły. Kreteńczycy zdołali podobno uzbroić 30,000 ludzi. Z drugiej strony przywódca powstańców macedońskich, Sandanski, wydał proklamację do Bułgarów macedońskich, nawołując ich do stawienia się pod jego komendę na wojnę grecką. Wzywa do wierności względem konstytucji tureckiej i komitetu młodotureckiego, który obiecał ludowi bułgarskiemu w Macedonji zupełną wolność samoistnego rozwoju. Wszystkie mocarstwa opiekuńcze uczyniły W. Porcie przedstawienia w duchu pokojowym, lękając się naturalnie, by wybuch wojny nie spowodował ogólno-europejskich zawikłań. Wskutek interwencji mocarstw opóźniona odpowiedź Grecji zawiera zapewnienie, iż dąży ona do jaknajlepszych stosunków z Turcją, że gotowa zrobić wszystko by zapewnić spokój w sprawach kreteńskich, że jednak ich roztrzygnięcie musi pozostawić mocarstwom. Do ruchu aneksyjnego zaś się nie miesza.

— Pomiędzy Japonją a Chinami wybuchnął zatarg z powodu budowy kolei Antung-Mukden, t. j. od granicy koreańskiej do stolicy Mandżurji. Prawo rozszerzenia i przebudowania tej wązkotorowej kolei zbudowanej tymczasem w ciągu wojny, zostało zastrzeżone po pokoju w Portsmouth w traktacie zawartym między Japonją a Chinami. Dopiero, gdy Japonja zabrała się do tej przebudowy, rząd chiński spostrzegł, że kolej odwróci ruch handlowy od Pekinu a zwróci go do portów koreańskich i japońskich — do Dalnego i Portu Artura. Zaczął tedy stawiać trudności, licząc na zwłokę. Spostrzegłszy to Japonja wysłała energiczną notę zawiadamiając, że budowę niezwłocznie prowadzić będzie, nie oglądając się na władze chińskie. Równocześnie uruchomiono jedną dywizję dla okazania, że Japonja swych praw gotowa siłą bronić. To odniosło pożądany skutek; Chiny cofnęły wszystkie swe zarzuty przeciw budowie kolei i zatarg został zażegnany.

— Spotkanie cesarza Wilhelma z powracającym z Anglji cesarzem Rosji odbyło się w obecności całej niemal floty niemieckiej. Chodziło Niemcom o okazanie, że i oni nie są słabi na morzu, o zatarcie imponującego wrażenia, jakie uczynić mogły w Cherbourgu i Cowes floty mocarstw zaprzyjaźnionych. Nie tyle może chodziło o Rosję, która planów zaczepnych niema, ile o tych, co są z nią w przyjaźni. *Nowa Ruś* pisze z tej racji: „Ani słowa! Niemcy mają wyborną flotę wojenną, ale jeśli połączyć floty angielską i francuską, to Niemcy na przypadek wojny mają jedną tylko perspektywę — drogo sprzedać swoje życie. Mówi o tym prosty rachunek arytmetyczny i o tym wiedzą w Rosji. A więc jaki cel tej demonstracji? Cel widoczny, chodzi o ochłodzenie wrażeń".

— Z powodu ostatniego zbliżenia Rosji i Anglji ma podobno nastąpić amnestja dla przestępców politycznych w państwie rosyjskim. Informują o tym *Russkoje Słowo*, *Berl. Tagebl.* i *Nowaja Ruś.*

—W Barcelonie obawiają się ponownego wybuchu rewolucji.

— Bezrobocie w Szwecji trwa i rozszerza się na nowe gałęzie pracy. Pociągi kolejowe kursują w zmniejszonej liczbie.

— Pod Melilą wybuchła znowu krwawa bitwa, w której Hiszpanie ponieśli ciężkie straty.

— W Turcji nie ustaje bojkot towarów greckich.

— W sferach biurokratycznych obiega pogłoska, że minister oświaty nosi się z zamiarem wydania rozporządzenia, aby osoby, które ukończyły zakłady naukowe średnie w okręgu warszawskim nie były dopuszczane do innych uniwersytetów rosyjskich nawet w tym wypadku, choćby tam znajdowały się wolne miejsca. W tym celu uniwersytetom będzie w tych dniach polecono dostarczyć wiadomości o liczbie podań złożonych o przyjęcie do uniwersytetów od osób, które ukończyły gimnazja w okręgu warszawskim. *Przegląd Poranny* do wiadomości tej dołącza wyjaśnienie, że do tej pory takich podań otrzymano zaledwie kilka.

— W Mińsku władze administracyjne nadesłały instytucjom rozporządzenie, aby wszelkie obrady były prowadzone w języku rosyjskim. Oprócz tego podobno nawet afisze, niedotyczące widowisk polskich, mają być drukowane tylko w języku państwowym, afisze zaś o przedstawieniach polskich muszą być ogłaszane w dwuch językach. Jeżeli takie postanowienie istotnie zostało wydanym — to niezawodnie upadnie, gdyż sprzeciwia się Ukazowi Najwyższemu z dn. 15/V r. 1905.

— *Kołokoł* umieścił artykuł Trubnikowa przeciw tolerancji wyznaniowej. Artykuł ten przywędrował do *Kołokoła* z „kosza"... *Nowego Wremieni.* Wogóle przeciwko tolerancji wypowiadają się tylko *Kołokoł*, kresowe duchowne organy i część szlachty.

— Niedobór budżetowy w r. 1910 podobno ma wynieść 80 mil. rubli.

— Pismo *Rygos Garsas* (Nr. 18) z powodu studjów profesorów Wejgielta i Niklewskiego w gub. Suwalskiej, wpadło na domysł, że jest to intryga polska z obawy, aby pomieniona gubernia nie została przyłączoną do gubernji litewskich. Podtrzymuje to mniemanie pismo *Litwa.*

— W Krakowie przyjmowano gości czeskich, jadących na wystawę do Częstochowy z ogromnym entuzjazmem i głośnymi owacjami. Kilkunastotysięczny tłum zalegał ulice; okna przybrane były kwiatami. Czesi przybyli w liczbie 200 osób, złożyli wieniec u stóp pomnika Mickiewicza.

— Ponownie red. *Świata* została skazaną administracyjnie na 100 rb, kary za artykuł „Werterzy rewolucji".

— W Płockiem trwa w dalszym ciągu sprzedaż majątków ziemskich... Nie dziw, skoro jeszcze w r. 1907 na balu polskim wypito wina i szampana za 1,600 rb., a papierosa zapalano trzyrublówką.

— *Kurjer Lubelski* piórem M. Biernackiego daje świetną odprawę „krucjacie" Weisenhofa przeciwko Wyspiańskiemu w *Tyg. Illustrowanym.*

— Współpracownik *Kur. Lub.* Józef Mondszein został pociągnięty do oopowiedzialności sądowej na zasadzie p. 3, par. 74 kod. karnego za 4 modlitwy, w której prokurator lubelski upatruje bluźnierstwo.

— W Instytucie muzycznym Warsz. podania i egzaminy będą się odbywały od 1 do 15 września. O ile się zapisze 6 kandydatów, otwartą będzie klasa operowa. Szkoda, że instytut nie zawiadamia, kto ma być kierownikiem klasy.

— Kapitan Spetrini wzniósłszy się w balonie swym Sirius z doliny Chamonix zamierzał przelecieć ponad szczytem Mont-Blanc. Wśród tej napowietrznej żeglugi wiatr zmienił kierunek balonu, który przepłynął ponad morzem lodów i kilku mniejszymi szczytami, nie wzniósł się jednak na Mont - Blanc i opuścił się szczęśliwie w pobliżu Locario. Jest to najwyższy wzlot, jakiego do tej pory dokonano.

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy”
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.
Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 5 — 7 pp.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. R kopisy drobne nie zwracają się.
Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: Administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kiojski i kantory pism perjodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.
Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 2 i od 4 do 7 pp.

Wydawca: **Józef Jabłoński.** Redaktor: **Roman Nowakowski.**

Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, Mazowiecka 8.